ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY

REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

№ 34

WARSZAWA
DNIA 24 SIERPNIA 1913 R.



Wejście na wystawę.

Wystawa architektoniczna w Lipsku 1913 r.

(Własna korespondencja „Złotego Rogu").

Trzeba przyznać Niemcom, iż w zakresie organizacji i urządzenia wystaw dokonali wielu korzystnych reform, zmieniwszy zasadniczy charakter prowizorycznych, obliczonych na paromiesięczny żywot wystaw.

Do niedawna sklejano z desek i płótna budy, oblepione, do przesytu sztukaterjami i alegorycznymi gipsowemi figurami, obwieszając wszystkie latarnie, gzymsy wież i wieżyczek, chorągwiami o międzynarodowych barwach.

Były to gmachy z kart wzniesione, które przez lada nieostrożność, padały w sekundach kilku, pastwą płomieni, pogrążając w gruzach i zgliszczach setki ofiar w ludziach, jak na światowych wystawach w Paryżu, Brukseli, Medjolanie.

Poraz pierwszy zdaje się w 1908 roku w Monachjum urządzono w Niemczech wystawę, której nadano architektonicznie monumentalny charakter.

Budowle i pawilony wzniesiono już nie z teatralnych dekoracji i gipsu, lecz z betonu i żelaza.

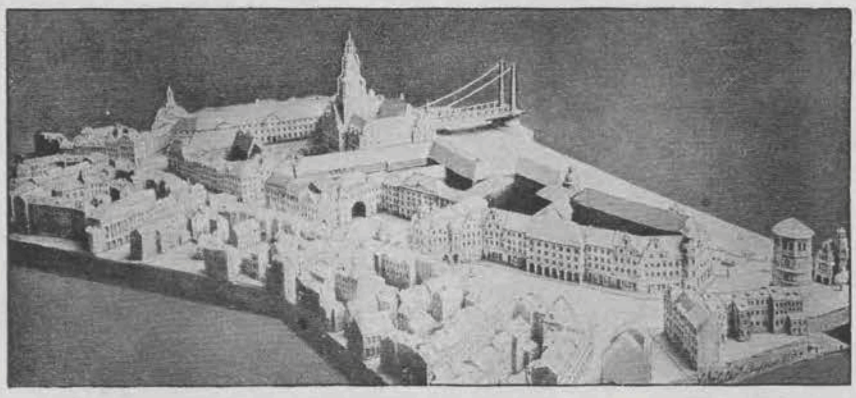
Wzniesione budynki miały trwale służyć municypalności miasta, nawet po ukończeniu wystawy.

Tegoroczna wystawa architektury w Lipsku nie imituje surogatami materjałów architektury, lecz obejmuje budynki wzniesione solidnie z trwałego materjału, wykazujące sumiennie zalety i zalety nietylko elewacji budynków, lecz i materjału z jakiego są wzniesione.

Pewną tylko część dekoracyjną wystawy stanowiła rekonstrukcja architektoniczna starego Lipska z r. 1813, dzielnicy położonej obok słynnego kościoła św. Tomasza, z krętemi wązkiemi uliczkami, zaludnionemi przez ludzi ubranych w malownicze współczesne stroje.

I w rzeczywistości jedynie Austrja wystąpiła z jednym skromnym budynkiem, ilustrującym znakomicie obecny kryzys polityczno-ekonomiczny tego mocarstwa.

Również kraje rzeszy niemieckiej nie są reprezentowane w komplecie, z wyjątkiem Saksonji i Prus.



Projekt budowy ratusza, dostosowanego do charakteru miasta.

Pamiętna dziejowa rocznica bitwy narodów, miała uświęcić międzynarodowy charakter wystawy lipskiej.

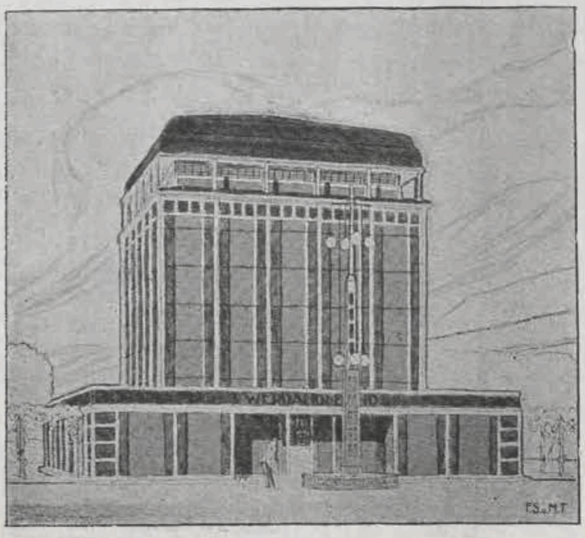
Lecz i w tym wypadku junkierska polityka i buta germańska sprawiły, iż mimo oficjalnej nazwy *wystawy międzynarodowej*, wysunięto pierwiastek nacjonalistyczyny na pierwszy plan.

Już samo połączenie z otwarciem wystawy poświęcenia potwornych rozmiarów pomnika, na placu bitwy, który ma być pangermańskim panteonem, musiało zniechęcić Francuzów, Anglików i Włochów od obesłania tej wystawy.

Wystawa architektoniczna miała rozwiązać problem *nowego stylu*, jaki powstać musi w epoce konstrukcji żelazo-betonowej.

W planowaniu logicznym terenu wystawowego i projektowaniu budynków wyrażono znakomicie wszystkie zalety nowoczesnych materjałów.

Inżyniera zadziwiają odporność i nieprzenikliwość różnych odmian sztucznego kamienia, przepiękne barwy i gibkość odlewów fasadowych, różnych preparatów, noszących nazwę terasitu, terranowy. W podziw wprowadzają wiotkie konstrukcje hal maszynowych, mostków, odlanych całkowicie z żelaza!



Pawilon Towarzystwa Wernandi.

Rozwój techniki, precyzyjność wykonania, obfitość pomysłowych urządzeń pomocniczych budowlanych, jak dźwigów, rusztowań, zabezpieczających robotnika i przechodnia od wypadku, oto pozytywne rezultaty tej pouczającej wystawy przemysłu niemieckiego, który rozwija się niezmiernie, nie zostając w tyle poza rywalizującymi krajami.

Rozwój i udoskonalenie techniki budowlanej wyprzedziły sztukę architektoniczną Niemiec współczesnych.

Ciężkość formy, niewolnicze opieranie się i przeżuwanie historycznych stylów przejawia się niemal w każdym wystawowym budynku.

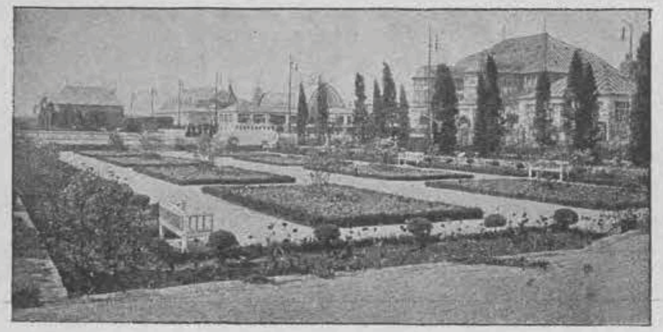
Architektonicznym leitmotywem wystawy jest wspomniany „Völkerschlachtdenkmal", potworny w kształcie i rozmiarach kloc, 100 m. wysokości, z przylepionemi figurami 12 m. wysokości.

Ciężka dłoń zwycięzców kowała panteon buty niemieckiej, w którym niema miejsca dla inwencji artystycznej i genjuszu.

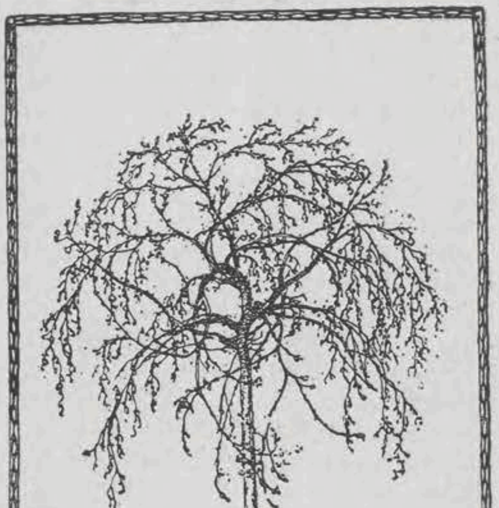
Niemcy współczesne mimo swego bogactwa, środków technicznej i mrówczej pracy, nie zdołały stworzyć muzyki nowych kształtów i barw, jakie mieć musi nowy styl architektury przyszłości, posługujący się materjałami, tej przewrotowej wartości, co żelazo i beton.

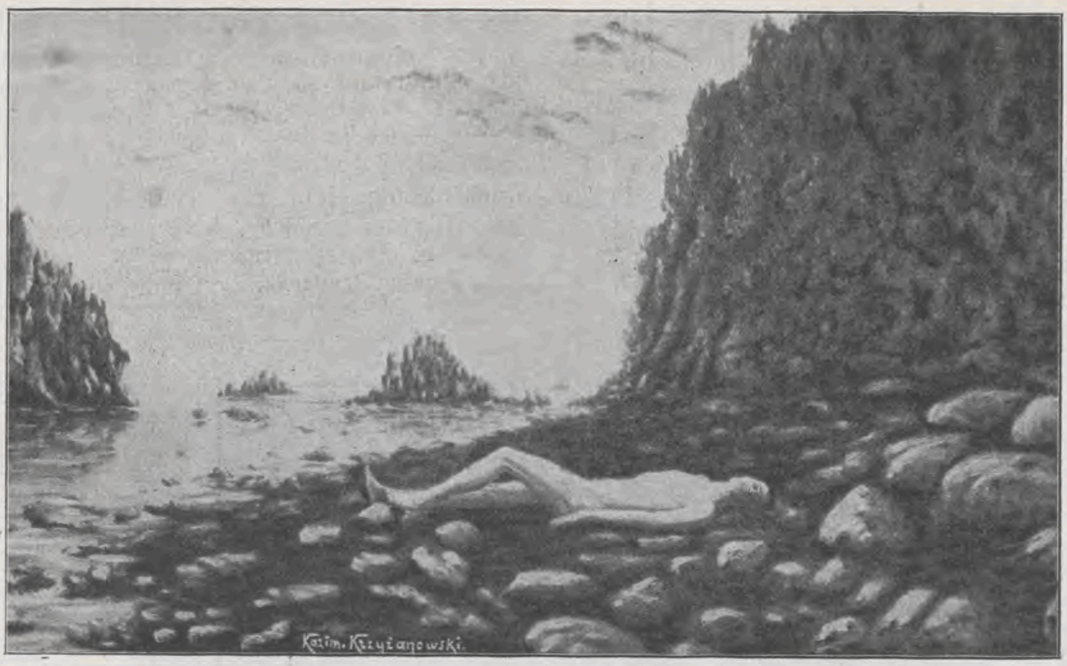
Na lipskiej wystawie nie objawił się Michał Anioł tego wyczekiwanego stylu!

Marjan Dienstl.



Ogólny widok wystawy.





K. Krzyżanowski. Zniszczenie.

„Młoda Polska“ J. Lorentowicza.

Tom III-ci.

Stosunek krytyka do autora powinien opierać się na bezwzględnej uczciwości, jeżeli ma istotnie pełnić służbę kulturalno-literacką. Pierwszym zaś warunkiem tej uczciwości jest spokój, powaga i skrupulatność. Krytyki pisane w sposób pospolicie zwany „od ręki“ pod wrażeniem, nie pomyślane — są zbrodnią literacką i krzywdzą nie jednostkę podaną wywisekcji ad hoc, ale całe społeczeństwo, bałamucąc opinję i załamując linję historji literatury konwulsyjnymi piruetami nieokiełznanej fantazji lub kaprysu. Działalność krytyczna wtedy nazwać się może uczciwą, gdy poczęła się w imię wyższych, płynących z głębi umysłu dojrzałego nakazów i jako taka jest dorobkiem historycznym. Więc i prace Lorentowicza pozostaną nierozdzielnie złączone z przedmiotem, jaki traktuje, będąc dziełem nauki i talentu — rozświetlającem ścieżki naszego labiryntu duchowego.

Trzeci tom „Młodej Polski“ obejmuje sylwetki: K. Tetmajera, J. Lemańskiego i A. Nowaczyńskiego. Nie są to właściwie sylwetki, ale zupełnie wykończone i wycieniowane portrety, zarysowane ręką pewną, oddające indywidualność oryginału ze ścisłością artysty, który z rysów odgaduje proces twórczy i umie sięgnąć aż do źródeł skomplikowanych wyrazów myśli i życia. I dlatego w studjach Lorentowicza jednako drga i żyje frenezyjna dusza poety Podhala, jak dziwnie namiętne, paradoksalne oblicze autora Skotapasek — jednako „mówią“ główne linje apologów Lemańskiego, jak rozwichrzone, bujne obrazy powieści „nieprzemyślanych“ Tetmajera. Ze spokojem i powagą olimpijską z cegiełek buduje krytyk gmach syntezy, ręka mu nie drży, choć myśl estety płonie i wystrzela mocnym kwiatem wszechstronnego wczucia się w duszę jednostki. Lorentowicz nie dzieli autorów na kategorje, szufladkowanie talentów jest mu zgoła obce, jedyną zaś miarą — „indywidualność“, „odrębność“ — i jeśli te dostrzeże, zapala się, wnika wgłąb motywów wewnętrznych i zewnętrznych i snuje jedyną opowieść o duszy, która zdobyła samowiedzę i wyraz. I dlatego w pierwszych tomach Młodej Polski mieliśmy portrety: Przybyszewskiego, Miriama, Langego, Reymonta, Kasprowicza i dla tejże samej przyczyny w trzecim uczymy się rozumieć Tetmajera — tego poety o „poczuciu odmienności“ — Lemańskiego, odnowiciela krainy „bajki“, która od czasów Krasickiego spoczywała w letargu — niezaprzeczalnie „indywidualnym“ wreszcie jest Nowaczyński, jedyny współczesny pamflecista w wielkim stylu, szermujący połyskliwą szpadą ironji i satyry, wyostrzonej na szorstkiej miłości do własnego narodu, obojętnej na puklerz drobnych sympatji i opinji. Krytyk Młodej Polski posiada intuicję, która jest zawsze atrybutem istotnego talentu, umie odróżnić najlepszy falsyfikat od oryginału — w pracach jego niema miejsca na kompromisy i nieporozumienia — umysł panuje nad wrażeniami i nigdy pierwszego nie podporządkowuje ostatnim. Stąd płynie: powaga, spokój i sumienne traktowanie dzieła — więc też i praca jego jest poza szablonem, poza błyskotliwą grą słów bez treści, poza tym całym aparatem współczesnej quasi-krytyki i pustej erudycji.

K. Łozińska.

Szlakami życia miljardera.



Dom, w którym się urodził Pierpont Morgan.

Miljarderzy amerykańscy (Europa dotychczas ani jednego, zdaje się, nie ma miljardera) przynoszą ludzkości więcej dobrego, czy złego?

Oto pytanie. Zastanawiano się nad niem niejednokrotnie, lecz do dzisiejszego dnia nie potrafiono dać pozytywnej, ani też negatywnej odpowiedzi.

Pytanie to wszakże ma znaczenie zasadnicze. W niem jednem reasumuje się bodaj całe zagadnienie ekonomji politycznej, cała olbrzymia kwestja centralizacji i decentralizacji kapitału.

Należy też na samym początku zaznaczyć, że całkiem inaczej przedstawia się ona w Starym Świecie, na kontynencie Europy, i całkiem inaczej tam, za Oceanem, w owej bajecznej krainie pracy, złota i szwindlu, jaką jest Ameryka.



Junius Spencer Morgan, ojciec Pierponta.

Ameryka? Amerykanie? Ileż oszałamiających wieści zagłusza europejczyka, gdy o kraju tym słyszy! Jakież fantasmagorje legendarnej energji migają mu przed oczyma, gdy o psychice życia Amerykanów czyta! Skonstatujmy jednakże truizm: rozbójnicy giełdowi, „sposoby amerykańskie“, amerykańska ektrawagancja, sławetny amerykański „bluff“, „reklama amerykańska“ — wszystko to istnieje, wszystko to jest prawdą, ale wszystko to ma również swoje *pendant* równie wymowne, równie impresjonujące i równie ekstrawagancyjne.

Przyjrzyjmy się żywotowi typowego Amerykanina, zanalizujmy szmat życia Pierponta Morgana, a znajdziemy być może przyczynek do odpowiedzi na pytanie, od którego rozpoczęliśmy kreślenie naszego szkicu.

Młodość Morgana.

Ze wszystkich „Królów“, którzy panują nad złotą kohortą multimiljonerów Piątej Alei w New-Yorku, jeden jedyny Pierpont Morgan nie należy do tych, których Amerykanie nazywają *self made man*, to znaczy ludzi, którzy sami uczynili się tem, czem są: miljarderami. Ale czy brak tytułu „self made man“ ubliża genjuszowi Morgana? Wręcz przeciwnie. Na podziw świata zasłużył on nie dzięki ilości posiadanego złota, którą mimo wszystko nagromadził, lecz dzięki cnotom moralnym i intelektualnym, które pozwoliły mu tyle dobrego dla ludzkości, a zwłaszcza dla swej ojczyzny, Ameryki, zdziałać

Senator francuski, d'Estournelles de Constant, podejmując tłómaczenie jednej z mów miljardera Carnegiego na wszystkie języki cywilizowane, wyjaśnia w przedmowie do przekładu francuskiego powody, które go do tego skłoniły: „Inicjatywę swą podjąłem — pisze — przez sympatję dla mego przyjaciela Carnegiego i przez wdzięczność za to, co uczynił. Bardziej bogaty i bardziej potężny od wielu królów, Andrew Carnegie pozostał tem, czem zawsze był: pracownikiem. Fortuna ma dla niego wartość jedynie nowego instrumentu pracy, jedynie przeolbrzymiej maszyny, której używa w celu przyjścia z pomocą przyszłym generacjom w odwiecznej walce z egoizmem i ignorancją. Używa tysiąca środków, które najczęściej sam wymarzył, aby szerzyć lekcje i przykłady dobrego postępowania. Nie zadawala się pisaniem książek i wygłaszaniem cennych mów, które są prawdziwemi przewodnikami życia, lecz otwiera dla ludu i ludów instytuty, bibljoteki, uniwersytety, ogrody i parki, gloryfikuje męstwo i cnotę, dyskredytuje gwałt, daje światu pałac Sądu Rozjemczego w Hadze— co jedno wystarcza, aby nazwisko jego było złotemi głoskami wypisane w Księdze dobroczyńców ludzkości.“

Mutatis mutandis, możemy wszystko to zastosować do Pierponta Morgana, który należał do tych bojowników *bussinesu*, o których mówi się, że im bardziej stają się bogatszymi, tem bardziej szlachetnieją. Jeśli inni miljarderzy amerykańscy walczą o pierwszeństwo na polu krzewienia kultury i oświaty i zakładania przeolbrzymich instytucji użyteczności publicznej, to za to jako filantrop i mecenas sztuki, Morgan pobił rekord zwycięstwa, wysuwając się na czoło dobroczyńców ludzkości. Zresztą, jeden tylko fakt z jego życia, o którym zaraz pisać będziemy, odmaluje nam jedną z najpiękniejszych cech charakteru Morgana, tak piękną, że rzadko wśród smiertelnych spotykaną. Chwilowo zaś przejdźmy do szczegółów biograficznych naszego bohatera.

John Pierpont Morgan, przyszły król Finansów, ujrzał światło dzienne w miasteczku Hartford, stolicy jednego ze stanów Ameryki Północnej, Connecticut, dnia 17 kwietnia 1837 roku. Ojciec Pierponta, Junius Spencer Morgan, władał już fortuną, gdy syn jego przyszedł na świat,

będąc współwłaścicielem wielkiego banku londyńskiego. Dzięki właśnie tej okoliczności zawdzięcza swą karjerę Pierpont Morgan.

Matka Pierponta była córką pastora angielskiego, po którym bohater nasz odziedziczył dwie główne cechy swego charakteru: nieskazitelną uczciwość i żelazną wolę.

W czterdziestym roku życia opuszcza Pierpont rodzinne swe miasto i wraz z rodzicami przenosi się do Bostonu. W młodości swojej był on takim samym, jakim pozostał przez całe życie a więc spokojnym, mało mówiącym, nie odzywającym się inaczej, jak po głębokim namyśle, chłodnym, praktycznym, odosobnionym i mającym w sobie coś, co najlepiej nazwać *powagą*. Mimo to, nie okazywał nigdy gniewu, złości, zdenerwowania. Jedyny raz podobno wściekle rozzłościł się: pewien urzędnik towarzystwa kolejowego podał mu raport, na którym imię jego było źle napisane. „Imię moje pisze się Pierpont, a nie Pierrepont"—zawołał grzmiącym głosem, rzucając papier o ziemię. „Już czas, aby wiedziano o tem w mem biurze." Zawsze zresztą złościła go zła ortografja jego imienia. Artykuł mu poświęcony mógł zawierać najpiękniejsze dlań panegiryki i dytyramby, gdy jednak wyraz Pierponta nie był należycie napisany, dostawał ataku złości.

W Bostonie ukończył Morgan średni zakład naukowy *English High School*, poczem, z powodu nadwątlonego zdrowia, udał się w podróż zamorską — do Europy. Zwiedził Anglję, Francję, Belgję, Szwajcarję i osiadł w Niemczech, w Goettingenie, gdzie też wstąpił na uniwersytet. Pięćdziesiąt lat później odwiedził Morgana w New-Yorku pewien staruszek, profesor tej wszechnicy i winszując swemu byłemu uczniowi powodzenia, które mu się w życiu uśmiechało, zawołał: „Mimo wszystko żałuję, że opuściłeś Goettingen. Byłeś tak znakomitym adeptem filozofji, że zamierzałem pozostawić ci w spuściźnie katedrę, którą sam zajmowałem." Słowa te do łez rozczuliły króla Finansów.



PIERPONT MORGAN.

W czasie swej wędrówki po Europie poznał Pierpont w Paryżu pewną swą rodaczkę, miss Amelję Sturges. Młoda Amerykanka, subtelnie piękna, była wszakże chora na chroniczne zapalenie płuc. Pozostawało jej do życia niewiele tygodni, co doskonale wiedziała. Lecz obawa przed śmiercią, pragnienie życia, chęć pozostania na tym padole, który (właśnie dlatego, że jej przeznaczonem było opuścić go w kwiecie życia) wydawał jej się tak pięknym, tak cudownym, tak pełnym szczęścia, rozkoszy, kwiecia, światła, — słowem, to pragnienie życia, ta żądza odpędzenia zbliżającej się śmierci bardziej jeszcze podrywała ostatnie dni jej żywota, niż tocząca ją choroba. Rozpacz suchotnicy nie miała granic, echa spazmów przedostawały się nazewnątrz jej mieszkania, w potokach łez gorących tonął jej pokój, rzucała się na łóżku w kurczach, spazmach, konwulsjach, jakby w przedśmiertnych podrygach, wołania jej i jęki wstrząsały ścianami domu i dreszczem zgrozy przejmowały jego mieszkańców, przecinały powietrze, jak łajanie zgłodniałego zwierzęcia, uwię, zionego na łańcuchu, krzyczała w niebogłosy-darła swe ciało, wyrywała pełnemi garściami swe piękne blond włosy—była na krawędzi szaleństwa w przededniu zejścia do grobu...

Sceny takiej bezbrzeżnej rozpaczy powtarzały się codzień i w chwili takiego paroksyzmu cierpienia poznał ją Morgan. Krwawiący ból nieszczęśliwej dziewczyny wstrząsnął nim do głębi. W duszy 22-letniego młodzieńca zaczęło kotłować, burczeć. Martyrologja nieszczęśliwej suchotnicy wytrąciła go z równowagi. Morgan powziął postanowienie uratowania dziewczyny, a ponieważ było to niemożliwem, tedy pragnął dokonać — cudu.

Był tylko jedyny sposób pozyskania zaufania suchotnicy: poślubić ją. Morgan zdobył się na to poświęcenie i nie zwlekając oświadczył się jej, poprosił o rękę. Amerykanka odmówiła. Znękana rozpaczą, lecz świadoma poświęcenia Morgana, dała mu do zrozumienia, że dwudziestodwuletni młodzieniec nie może poślubić kobiety umierającej, będącej jedną nogą za parkanem cmentarza, w zimnym, ciemnym grobie, przed którym tyle śmiertelnej miała obawy. Lecz Pierpont obstawał przy swojem. Ten chłodny, flegmatyczny, wiecznie milczący i zamknięty w sobie Morgan okazał się nagle tak perswazyjnym, zdobył się na tak wzruszającą elokwencję, miała tyle akcentów szczerości, współczucia, bólu, błagania, że suchotnica, do głębi wzruszona dobrocią prawie nieznanego jej młodzieńca, ustąpiła...

Odtąd miał Morgan tylko jeden cel w swem życiu: przekonać miss Amelję, że choroba jej bynajmniej nie jest nieuleczalna i że po pewnych zachodach niewątpliwie wróci do zdrowia. Nieszczęśliwa dziewczyna, znajdując się pod wrażeniem okazywanej jej dobroci i czułości, wracała jakoś istotnie do siebie, uspakaja się, paroksyzmy rozpaczy powtarzały się rzadziej, a chociaż choroba nie przestawała ją toczyć, czuła się przecież przy boku Pierponta niemal szczęśliwą, znalazła w nim jakby balsam kojący jej rany.

Morgan, natychmiast po załatwieniu wszystkich formalności, poślubił suchotnicę; odwiedził większość lekarzy płucnych w Paryżu i za ich poradą udał się ze swą młodą żoną w podróż naokoło świata.

Czyniąc wszystkie te zachody, łudził się

nadzieją, słodką nadzieją, że uda mu się znieść wyrok Opatrzności. Lecz Fatum robiło swoje. Pomimo nadludzką opiekę i zabiegi, nieszczęśliwa zmarła na jego rękach w wagonie kolei żelaznej. Tyle tylko zyskał, że ukoił jej martyrologję, że osłodził ostatnie dni jej żywota...

Należy na tem miejscu dodać, że już w owym czasie był Pierpont Morgan dyrektorem banku nowojorskiego „Daleney and Goodwin", który pod kierunkiem tego genjuszu świetnie prosperował, i że dla uratowania miss Amelji porzucił to stanowisko, porzucił wszystkie swoje sprawy, pragnął oddać wszystko, co tylko miał, w potrzebie i siebie samego, byle tylko złagodzić cierpienia nieszczęśliwej suchotnicy...

A chociaż nie całkiem mu się to udało, a chociaż nie potrafił uratować jej życia, to czyż odmalowany tu obrazek nie mówi dość za siebie, czyż nie wystarcza, aby ludzkość szanowała pamięć tego człowieka?

(d. c. n.)

S. Auerbach.



I. Fornaro. Karykatura Pierponta Morgana.



Teatr Polski. „Panny".

Spółka literacka p. f. Wolff i Leroux wpadła na szczęśliwy pomysł. Spółka ta doszła do wniosku, iż aby zdobyć sobie serce publiczności, należy rozjątrzyć jej zamiłowanie do przyglądania się zapasom duchowym, w których uczucie walczy ze sztywną martwotą konserwatywnego światopoglądu — rozjątrzyć za pomocą żonglowania wiecznie młodemi problemami miłości i ustanowionych zwyczajów, na odwiecznym rozstaju nagiej prawdy i *comme il faut* odzianego kłamstwa. Jest to najpewniejsza droga do zwycięstwa, do olśnienia tego wielogłowego smoka, któremu na imię „tłum"; droga niebezpieczna, bezwątpienia, w mglistej oddali kryjąca dwie alternatywy: tryumf albo upadek. Doświadczenie wykazało, że najczęściej osiąga się—tryumf. Bo przecież mimo wszystko, lubimy gdy się nas smaga i budzi z drętwoty. Krzyk buntu, wydzierający się z piersi młodej dziewczyny, jeśli jest szczery, działa na nerwy, jak prąd elektryczny, wzniecą protest i zachwyt, nienawiść u jednych i uwielbienie śród tych, w których śpiewa jeszcze rozkwit bujnych sił młodości, a przedewszystkiem odgania precz trapiącą zazwyczaj widzów zmorę nudy, przez to, iż zaciekawia i pobudza do myślenia. „Panny" wystawione w teatrze Polskim są właśnie takiem zogniskowaniem palących problematów, uczynionem w sposób

niesłychanie zręczny według najdoskonalszych, bodaj że Ibsenowskich recept, lecz opierającem się na zbyt sztucznych podstawach. Rzecz prosta, że się „Panny" kochają. Ponieważ jednak miłość niezawsze idzie w parze z zasadą konwenansu, z tym przeklętym „honorem rodziny", który tak okrutnie obchodzi się niekiedy z uczuciami młodości, nic więc dziwnego, że następują konflikty tragiczne, przekreślające całą przyszłość ofiar swych, w postaci starych panien, obnoszących wszędzie smutek swój nieuleczalny a bezgraniczny. Te, które skończyły już rachunki z życiem własnem, które upokorzyły się wobec etyki filistrów błogosławią inne, mające odwagę iść drogą swego „ja", jego umiłowań i dążeń. W sztuce pp. Wolffa i Leroux razi jednak zbyt jaskrawe usiłowanie podporządkowania czynników naprawdę twórczych i bezpośrednich efektom zewnętrznym. W komunikatach, poprzedzających premjerę, zapowiadano, iż „Panny" obfitują w mnóstwo ciekawych problemów. Ach, te problematy! Zadusiły cały wdzięk i subtelną poezję „Panien", jaskrawym, przykrym blaskiem obramiły scenę, niby amerykańskie reklamy.

Najlepiej ze wszystkich grała p. Laura Duninówna. Ból jej był prosty i naturalny, pozbawiony afektacji i wymowny. Subtelną, arabeskową grą roztoczyła wnętrze duszy pokrzywdzonej, duszy, której raz na zawsze odebrano prawo do miłości.

Inni artyści grali zgodnie z intencją autorów.

J. Appenszlak.

Teatr Letni. — „Gęsi i gąski" Michała Bałuckiego.

Piotr Chmielowski w bardzo trafny sposób scharakteryzował rodzaj twórczości komedjopisarskiej M. Bałuckiego, mówiąc, iż „napełniał teatr wesołym rozgwarem, nie gardząc ani trywialnymi efektami, ani tłustymi konceptami; budowa jego komedji jest zazwyczaj wadliwa, akcja nie zawsze umotywowana, charaktery często umyślnie przechodzą w karykatury; trafność atoli pochwyconych rysów, pojedyńcze osobistości ze świata powszedniego wybornie skreślone, każą przynajmniej podczas przedstawienia zapominać o tych ujemnościach; postacie dodatnie są pospolicie sztywne, ogólnikowe, kaznodziejskie i przedstawiają się jako wymysł autora, który chciał wypowiedzieć morał; w komicznych natomiast mamy kilka charakterów nowych, nieznanych dawniejszej komedji naszej, wytworzonych pod wpływem stosunków doby najświeższej".

Teatr Rozmaitości specjalnym pietyzmem otacza utwory Bałuckiego, wystawiając je z zapałem godnym lepszej sprawy, podczas, gdy dzieła prawdziwego genjuszu doczekać się nie modą godnej gry i wystawy.

Aktorzy nasi istotnie grać Bałuckiego umieją; komedje jego należą do najudatniejszych przedstawień na warszawskiej scenie, lecz mimo drobiazgliwości w wystawieniu, nie przyczyniają się do podniesienia naszej teatralnej kultury, nawet swą wzorowością, niedoścignioną przez rozliczne teatry amatorskie, kuszące się o zdobycie laurów w służbie muzy Bałuckiego.

Słowacki, Szekspir, Ibsen i Wyspiański niema w Polsce swego teatru — Bałucki już go posiadł oddawna.

„Gęsi i gąski" odegrano w tiurniurach, w kolorycie epoki z lat 1860-ych, z współudziałem pp. Rapackiego, Wilczyńskiego, Żółkowskiej, Szymanowskiej i młodszych, pp. Werycho, Sulimy, Szyliżanki, Owerły, Hryniewicza i Kawalskiego, pod staranną reżyserją p. Wostrowskiego.

m. d.

Z TYGODNIA.



Sir Edward Grey,
jeden z właściwych kierowników polityki europejskiej.



August Bebel,
przywódca socjalistów niemieckich, zmarł 14-go b. m.

Femina



SUMURUN I NUR AL DIN.

Nieszczęsna Schecherezada opowiadająca swemu okrutnemu władcy przez tysiąc i jedną noc piękne swe bajki, nic wiedziała, że kiedyś... kiedyś... znajdzie się na ziemskim obszarze, para ludzi wcielających tak idealnie postacie jednej z jej baśni — baśni o „Miłości i Zazdrości". *Samurun i Nur al Din*, owa wyśniona para kochanków zaklęta w *Wandę i Juljusza Osterwów*, wygląda na scenie w całem tego słowa znaczeniu bajkowo.

P. Osterwa łączy wszystkie warunki zewnętrzne jakich się od takiej postaci wymaga. Stroje w Sumurun zmieniane kilkakrotnie, są stylowe w każdym calu. Nasza rycina przedstawia z nich jeden bardzo udatny. Przezroczne białe tkaniny, dziane srebrem, pas *Bayadére* zdobny przepaską z drogich kamieni, rodzaj turbanu przepiętego djademem, welon przysłaniający usta, drobne stopy w kosztownych sandałach.

Nur al Din p. Osterwa, nosi strój charakterystyczny wschodni, bogatego handlarza kobierców—turban z cudnej materji—całość... jak z bajki. *Marcèle.*



Sumurun i Nur al Din.
(Wanda i Juljusz Osterwowie).
Fot. Malawski i Tavrell.



Sumurun na scenie Nowości. Szeik i tancerka.
(Knake-Zawadzki i Pola Negri.)
Fot. Malawski i Tavrell.

REGATY ŻAGLOWE W BRIGHTON.

Anglja ze swą wspaniałą stolicą na czele, jest jak wiadomo ojczyzną wszystkicy sportów, które stanowią i podstawę fizycznego angielskiego wychowania i obyczajów narodowych, obywateli Wielkiej Brytanji. Obfitość przeróżnych wód okalających ich tereny, wpłynęła na olbrzymi rozwój sportów mających wodę za pole działania. Na rozlicznych rzekach i jeziorach Wielkiej Brytanji, na kanale *La Manche* na wybrzeżach mórz *Irlandzkiego i Północnego*, odbywają się najróżnorodniejsze wodne uroczystości, zabawy prywatne i publiczne, przechodzące wykwintem i wspaniałością, wszystko co się gdzie indziej widzieć mogło. Do Londyńskiego jacht Klubu, należy obowiązkowo i tradycyjnie, cała angielska arystokracja rodowa z księciem Walji na czele. Tak zwane regaty czyli wodne wyścigi wszystkich możliwych typów morskich ekwipaży, należą do najulubieńszych i najbardziej uczęszczanych rozrywek angielskich.

Posiadanie własnego jachtu z całą obsługą do niego przy-



Z regat żaglowych w Brighton.

wiązaną, należy do szyku wielkopańskiego a takich jachtów liczą tam tysiące. Są to małe okręty urządzone zupełnie na wzór olbrzymów morza, mają swych zawodowo wyszkolonych kapitanów, sterników, majtków, całą swą okrętową załogę. Niema wielkiego pana w Anglji, który by nie posiadał swego jachtu i nie pływał na nim wraz z całem gronem zaproszonych przyjaciół po kanałach i morzach. Prześliczne kabiny, sale jadalne, sale balowe, piękne pokłady, największy komfort, często własna orkiestra, zawsze znakomici kucharze i wzorowa służba, zmieniają taki pływający pałac w raj ziemski a życie w jeden ciąg zachwytów. Organizują koncerty, tańce, uprawiają na wysoką skalę cichy, spokojny ale często niebezpieczny angielski flirt, oto jak żyją na jachtach!...

Jak wspomniałem, wyścigi wodne roznamiętniają anglików. Jachty przywatne i różnych stowarzyszeń, łodzie wszelkich typów, motorowe, wiosłowe żaglowe rozlicznych klubów, których tam jest dziesiątki, setki, biorą udział w tych turniejach, którym przypatruje się i bardzo wytworna i szersza publiczność. Do najbardziej eleganckich regat należą tak zwane *żaglowe* w *Cowes* i *w Brighton.* Ta ostatnia miejscowość jest położona o 2 godziny jazdy koleją od Londynu, zamożni mieszkańcy stolicy wyjeżdżają tam na letnie wywczasy, jest to miejsce kąpielowe angielskiego wybrzeża kanału *La Manche*, niezmiernie eleganckie, odbywają się tam również latem i wyścigi konne.

Wagony pullmanowskie nad wyraz wygodne przenoszą błyskawicznie mieszkańców Stolicy na wybrzeże kanału *La Manche*, Na stacji oczekuje setki samochodów i za chwil kilka jest się już w trybunach, wchodzących prawie w morze, które w dniu regat żaglowych, przedstawia nadzwyczajny widok. Kilkaset łodzi podobnych do jakichś fantastycznych białych ptaków, o rozpiętych skrzydłach, kołysze się na falach, na dany znak ustawiają się w szeregi, następnie w olbrzymi sznur i rozpoczynają wyścigi pełne sprawności, wdzięku i białoskrzydlatej poezji — Wieczór zmiana dekoracji. Całe wybrzeże *Brighton'u*, tonie w świetle elektrycznem na setkach łodzi płoną lampy i reflektory, dziesiątki jachtów prywatnych rzęciście oświetlonych dopełnia tego niezwykłego widoku. Panie w wieczorowych tualetach czekają na rozpoczęcie tańców na podładzie, i flirtują z wyfrakowanemi gentelmanami, cudny letni wieczór i gwiaździsty strop nieba dopełniają uroczej całości.

Marcéle.



Związek lokatorów a potrzeby miasta.

Łódź posiada dość nawet pokaźny szereg instytucji ekonomicznych i społecznych. Jeżeli jednak zechcemy z niemi bliżej się zapoznać, to się przekonamy, że znaczna ich liczba istnieje tylko na papierze, t. j. posiada ustawy, tabliczki z wypisanym tytułem, prezesów, a nawet... członków, ale... niema nic wspólnego z życiem i jego potrzebami. Jest także pewna kategorja instytucji, o których działalności i życiu niewiele można się dowiedzieć i trzeba wysyłać do nich aż publiczne wezwanie, ażeby się odezwały, o ile żyją, jak to w tych dniach uczynił p. H. Szuszkiewicz, który na szpaltach „Gazety Łódzkiej" zainterpelował Związek lokatorów w Łodzi i nawet wyraził wątpliwość co do jego istnienia.

A jednak ten związek zapowiadał żywotną działalność w bardzo szerokich, może nawet za szerokich granicach swojej ustawy. Miał dążyć do podniesienia ekonomicznego i kulturalnego stanu miasta, za pomocą zbadania jego potrzeb w rozmaitych gałęziach życia i gospodarstwa miejskiego, zastosowania wszelkiego rodzaju środków i sposobów do uzdrowotnienia i ubezpieczenia miasta, opracowania odpowiednich projektów, szkiców i referatów, w celu przedstawienia władzom właściwym i t. d.

Na jakieś 200 tysięcy lokatorów, t. j. tych, którzy figurują na listach lokatorów, narazie zapisało się podobno około 700 członków, z których wkrótce została zaledwie połowa, a i ci pono, zwyczajem łódzkim, zalegali w opłacie składek.

Według art. 5-go ustawy tego związku, członkiem może być każdy płacący nie mniej niż 120 rb. rocznie komornego. Ci, co mniej płacą, nie są godni należenia do Związku, nie wiemy, z jakich powodów. Może są zbyt ciemni, a więc nie zdolni do uzdrawiania miasta, sądzenia o jego potrzebach i brakach?..

Lecz posłuchajmy, co mówi p. Szuszkiewicz:

„Pewna część z tych i tak nielicznych członków Związku sądziła, że gdy tylko się zapisze i wpłaci pewną sumę tytułem wpisowego i składek, otrzymo jeżeli nie zupełnie darmo, to bodaj za połowę ceny, jaką płaci za obecnie zajmowany lokal, lub też jeżeli wyniknie nieporozumienie z właścicielem domu w sprawie pieniężnej lub innej, to związek natychmiast wyśle własną delegację, by się z gospodarzem domu w interesie jego — lokatora — rozprawiła i t. p Niektórzy z członków utyskiwali, że pomimo obietnic, związek jeszcze nie buduje tanich mieszkań. Nie chcieli pojąć tego, że do budowy domów z taniemi mieszkaniami potrzebne są duże kapitały a związek mógłby je mieć tylko wtedy, gdyby zamiast kilkuset członków, zapisało się 30 lub 40 tysięcy regularnie płacących składki. Inni znów rozumują, że jeżeli nawet wystawią domy z taniemi mieszkaniami, to pewnie za miastem, ze względu na taniość placów, co jest rzeczą zupełnie naturalną.

— Ja tam mieszkać nie mogę — mówią, — bo mój handel daje mi utrzymanie tylko w mieście.

„Oni tego nie pojmują, nikt ich pod tym względem nie oświecał, że ich nikt zmuszać nie będzie do porzucenia handlu w mieście i przeniesienia się do tanich mieszkań, które w samej rzeczy muszą być oddalone od centrum miasta. Lecz ci, których interesy i handel nie zmuszają do gnieżdżenia się w czarnem i brudnem śródmieściu, jak np. pracownicy różnych instytucji, jak kantorów bankierskich, fabrycznych, różni agenci handlowi a nawet rzemieślnicy, pracujący dla handlarzów ubraniami, obuwiem i t. p. tak zwani chałupnicy, oni wszyscy tam mieszkaćby mogli. Ci korzystaliby na tem dużo, bo mieliby tańsze, ładniejsze i wygodniejsze mieszkanie, czystsze powietrze".

Gdy ta kategorja mieszkańców, jak słusznie twierdzi p. Szuszkiewicz, przeniesie się poza obręb centrum miasta, wtedy powyżsi niezadowoleni, którzy *niby muszą* mieszkać w śródmieściu, dużo skorzystają, bo będzie więcej mieszkań do wyboru, a tem samem i ceny ich muszą uledz zniżce.

Związek lokatorów dotąd nie jest zlikwidowany, więc — pyta p. Sz.: — Czyby nie należało mu się obudzić z letargicznego snu i czyby nie należało wznowić nieco intensywniej jego działalności?

Ażeby jednak ta działalność mogła być istotnie intensywną i żeby związek miał rację bytu, trzeba iżby miał nie paruset członków, ale przynajmniej parę dziesiątków tysięcy. Niewątpliwie w Łodzi przy najusilniejszych zabiegach nie można zdobyć tak wielkiej liczby członków dla jednego zrzeszenia. Otóż czyby się nie dało dążyć innemi drogami? — Zmienić ustawę nieco, w ten sposób, ażeby związek mógł stwarzać nieograniczoną liczbę oddziałów, pozostających w kontakcie z zarządem głównym. Liczne dzielnice miasta posiadają różne warunki, których nie mógłby ogarnąć i szczegółowo zbadać jeden wielki związek. Mogą to zrobić tylko jego autonomiczne rozgałęzienia. Wszystkie oddziały za pośrednictwem swych delegatów łatwiej będą mogły się porozumieć, niż członkowie na bardzo

licznych zebraniach związku ogólnego. Ale i też najważniejsza, że każdy taki oddział łatwiej będzie mógł werbować członków niż jeden ogólny na całe miasto związek. Tylko takie zrzeszenie — zdaniem naszem — może skutecznie pracować nad naprawą warunków mieszkań i stosunku lokatorów do właścicieli. Tylko takie zrzeszenie może walczyć rozmaitemi środkami z drożyzną i lichotą mieszkań a nawet ze spekulacją budowlaną. Tylko wtedy można będzie dążyć do tego, ażeby mieszkania dla większości mieszkańców miasta nie były ...przedmiotem zbytku.

Oczywiście, związek lokatorów ze swojemi oddziałami, sam przez się takich cudownych rzeczy nie uczyni. Może on zarazem średnio oddziaływać na samoobronę lokatorów za pomocą różnych innych instytucji i zarządzeń. Wszakże członkami lokatorów byliby członkowie różnych instytucji ekonomicznych i społecznych oraz finansowych. Mogliby więc oni wytworzyć wielotwórczy ruch w zakresie udostępniania mieszkań i przerabiania psich bud na mieszkania istotnie zdatne dla ludzi. Wreszcie mogliby skutecznie dążyć do tworzenia towarzystw budowy mieszkań. Dotąd bowiem pod tym względem próby w Łodzi były bardzo niefortunne.

Nie łudźmy się jednak, ażeby związek taki, któryby chciał rzeczywiście pracować z wielkim pożytkiem dla ogółu mieszkańców, nie miał na swej drodze wielkich, ciężkich do przebycia przeszkód. Muszą one być szczególnie w takich warunkach, gdy miasto nie posiada samorządu, a natomiast gospodarkę administracyjną, nie uwzględniającą najpilniejszych potrzeb mieszkańców. Prawda, że dzisiejsza gospodarka administracyjna nie jest samodzielna, że o każdy drobiazg trzeba się udawać do Petersburgu; że nie wszystkie przedstawienia zarządu miasta są tam uwzględniane, gdyż władze centralne, stojące zdala od tych potrzeb, nie mogą ich ocenić należycie. Dlatego też pozycje ważne bywają w projektach budżetu przebierane, gdy natomiast mniej ważne i niedotyczące nawet bezpośrednio potrzeb miasta — są uwzględniane. Ale i to trzeba mieć na uwadze, że nawet przy tej zależności gospodarki miasta Łodzi od Petersburga, wiele pilnych potrzeb dałoby się załatwić, wiele ważnych wniosków przeprowadzić, gdyby tylko sam zarząd miasta zechciał lub potrafił należycie wnikać w te potrzeby i oceniać je odpowiednio; gdyby ten zarząd miasta zechciał istotnie stać na straży potrzeb półmiljonowej ludności miasta, rosnącego coraz bardziej niemal z dniem każdym.

Zenon Pietkiewicz.

PAWEŁ HERTZ.

Dn. 12 sierpnia w Homburgu zmarł znany obywatel łódzki, Paweł Hertz, w pełni sił męzkich, bo dopiero w 46-ym roku życia. Była to jednosta wybitna, człowiek zasłużony nie tylko na polu działalności społecznej ale także i na polu nauki.

Ukończywszy w Warszawie gimnazjum i wydział fizyczno-matematyczny, udał się na dalsze studja do Paryża. Tam skończył *Ecole ponts et chaussés* ze stopniem inżeniera z medalem złotym.

Po skończeniu nauk rozpoczął życie czynne i energiczne: odrazu znalazł sposobność zastosowania w praktyce wiedzy zdobytej: Mianowicie, spędził trzy lata w Hiszpanji przy budowie kolei żelaznych. Po powrocie do kraju otworzył w Łodzi dom handlowo-przemysłowy i jednocześnie wziął żywy udział w życiu społecznem, między innemi stanął u steru Towarzystwa „Uczelnia". Był więc prezesem i głównym dyrektorem Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, brał udział w komitecie reprezentantów kupiectwa łódzkiego. W ostatnich czasach wspólnie z innymi stworzył dużą fabrykę cementu w Zawierciu. Brał czynny udział w organizacji suchedniowskiej fabryki odlewów, a po przekształceniu jej na Towarzystwo akcyjne, był prezesem zarządu. W swojem biurze zogniskował kierownictwo handlowe i techniczne wielu innych przedsiębiorstw przemysłowych.

Na polu naukowym był znany z kilku prac matematycznych.

STRAJKI.

Strajki robotników łódzkich są już na schyłku. W chwili gdy te słowa piszemy (15 sierpnia) z 60-ciu tysięcy robotników strajkujących już tylko dwadzieścia parę strajkuje. Wszystkie największe fabryki, w których strajk trwał w kilka i więcej tygodni, już uruchomiono. Przy tem fabryki większe prawie wcale nie uwzględniły żądania robotników. Natomiast średnie i mniejsze dały podwyżkę w stosunku 5—10%. W ostatnich dniach zastrajkowali także pracownicy tramwajowi, ale strajk ten zgnieciono środkami administracyjnemi. Strajkujących aresztowano i pod strażą wojskową kazano im pełnić służbę. W ciągu kilku dni aresztowani w dzień pełnili służbę na tramwajach, a na noc szli do aresztu. Mieszkańcy Łodzi byli więc świadkami widowiska, które z wszystkich strajków pozostawiło najprzykrzejsze wrażenie...

Od Redakcji. Instytucje łódzkie i osoby prywatne prosimy o nadsyłanie sprawozdań, broszur, wszelkich uwag, notatek i głosów w sprawach, dotyczących życia i potrzeb miasta, pod adresem kierownika działu łódzkiego w **Złotym Rogu**, Zenona Pietkiewicza. — **Łódź, Inżynierska I.**

POPULARYZACJA WIEDZY

Z postępów wiedzy i pracy.

GEOGRAFICZNE ROZMIESZCZENIE ZWIERZĄT.

5)

(Dokończenie).

Szczególniej godna jest uwagi fauna jezior, gdyż różne, żyjące tam gatunki istotnie mają morski wygląd. Istnienie tych gatunków spowodowało stworzenie teorji szczątkowych faun. Dawniej uczeni mniemali, iż niektóre słodkowodne jeziora stanowią reszki mórz przedhistorycznych i że żyjące w nich gatunki — to wynik zaaklimatyzowania się, na miejscu dawnej, morskiej fauny. Szczególniej godne jest uwagi pod tym względem jezioro Bajkał, zarówno ze względu na obfitość znajdujących się w niem form endemicznych, jak i ze względu na obfitość form archaicznych. Obecność tych form tłómaczą teraz nie przystosowaniem do życia w słodkowodnych zbiornikach, lecz faktem zbieżności, gdyż gatunki zwierząt jezior i mórz żyją teraz w warunkach, do pewnego stopnia analogicznych.

IV.

Podobieństwo faun dwuch polarnych stref można wyjaśnić przez konwergencję; za przykład w danym wypadku mogą służyć północne i południowe pingwiny. Współrzędnie z temi, że tak się wyrażę, zastępującemi się wzajemnie gatunkami, w polarnych strefach istnieje cały szereg dwupłciowych gatunków. Prawdopodobnie gatunki te stanowią szczątki zwierząt, rozpowszechnionych w czasach geologicznych, gdy na całej kuli ziemskiej temperatura była bardziej równomierna. Zresztą, niektóre gatunki, które wyłącznie przypisywano strefom polarnym, w rzeczywistości są o wiele więcej rozpowszechnione, tylko w strefach bardziej gorących spotyka się je na wielkich głębokościach.

W związku z kwestją o geograficznem rozmieszczeniu zwierząt, znajduje się również kwestja o zaludnieniu pustych miejsc. Biologowie, przejęci darwinowskiemi ideami, trzymają się tego twierdzenia, iż wybierając nowe miejsce zamieszkania, gatunek stopniowo się doń przystosowuje, a osobniki, które okazały się niezdolne do przystosowania, stopniowo wymierają. Inni współcześni biologowie, a w ich liczbie i Cainnaut, utrzymują coś wręcz przeciwnego. Teorja ta opiera się na hipotezie, iż zwierzę lub roślina nie przystosowuje się do nowego środowiska; jest ono specjalnie doń skłonne. Jeśli dany gatunek rozpowszechnia się w danem miejscu, to nie dlatego, iż stopniowo się przystosował się do nowego środowiska, lecz przez to, że zanim się dostał do nowego środowiska, posiadał organizację dostatecznie nadającą się do znoszenia nowych warunków. Gdyby dany gatunek nie posiadał predylekcji do rozwoju określonych skłonności — przystosowalności potęgowej, — nigdyby nie mógł utrzymać się na nowem miejscu. Z tego faktu, niesłychanie ważnego z punktu widzenia teorji ewolucji, wypływa, iż niema przyczynowego związku między przystosowaniem do środowiska a warunkami tegoż środowiska. Teorja ta spotkała się w Francji z żywym protestem, gdyż przeczy ona słynnej formule Lamarqu'a: funkcja stwarza narząd. W rzeczywistości zaś, jeżeli konieczne i wystarczające przystosowania zjawiły się niezależnie od środowiska, to prędzej narząd powołał do życia funkcję, a nie naodwrót.

Teorja ta nie zawiera nic takiego, coby przeczyło logice lub ściśle ustalonym faktom i można przypuszczać, że zawsze istniały gatunki, które, żyjąc w danem środowisku, zdolne były do zaludniania sąsiedniej pustej przestrzeni mało różniącej się od tego środowiska i przypadkowo odpowiadające jej warunkom; było to możliwe jedynie dzięki wypadkowemu zespoleniu się cech uprzedniego przystosowania do tego środowiska.

Każdy emigrujący gatunek, uwolniony od rywalizacji gatunku, z którego pochodzi mógł rozmnażać się bez przeszkody. Jest to warunek ogromnie sprzyjający powstawaniu nowych mutacji. Dawniej, gdy było dużo pustych przestrzeni, możliwość zjawiania się nowych gatunków, była bardzo duża; teraz zdarza się to rzadziej i ewolucja silnie jest skrępowana, lecz mimo to postępuje nieprzerwanie.

S. D.

KRONIKA POPULARYZACJI WIEDZY.

Pellagra.

Na zjeździe lekarzy w Londynie referował w sekcji hygienicznej dr. Beale o nowej chorobie, zwanej „pellagra“, która w ostatnich latach coraz bardziej zaczyna się rozszerzać w Ameryce. Choroba objawia się zaburzeniami systemu nerwowego i żołądka, a kończy się przeważnie szaleństwem i śmiercią. Choroba ta, którą dotychczas zajmowano się przeważnie teoretycznie, w ostatnim roku przyprawiła o śmierć conajmniej 3,000 amerykanów. W Stanach Zjednoczonych szerzy się szybko. Dr. Newsholm oświadczył, iż lekarze angielscy sądzili, że się choroba ta do Anglji przenieść nie może; tymczasem w ostatnich czasach zdarzyło się kilka jej wypadków tak w Anglji jak i w Szkocji.

Buljon i jego zawartość pożywna.

Ministerjum rolnicze w Stanach zjednoczonych ogłosiło rezultat chemicznego badania buljonów, uskutecznionego przez znanego uczonego Cooka. Z analizy jego wynika, że chude mięso wołowe zawiera 77 proc. wody, 19 proc. białka i 2.3 pr. innych substancji, niepożywnych. Z tych substancji składa się buljon. Już od dłuższego czasu wiadomo, że buljon jest w bardzo małej mierze pożywny; pożywność jego bowiem równa się mniej więcej siódmej części niezbieranego mleka; jednej ósmej pożywności soku winnego jednej szóstej pożywności soku jabłecznego. Cztery kawałki zwykłego chleba zawierają więcej pożywnych substancji niż 4 litry buljonu. Około 32 litrów buljonu dałoby tylko tyle pożywienia, ile potrzeba robotnikowi w ciągu jednego dnia. Ale robotnik, któryby zdołał w ciągu jednego dnia tyle płynu wypić, nie byłby jednak należycie odżywiony, a to z tego powodu że organizmowi ludzkiemu potrzebne są innego rodzaju substancje pożywne, niż te, które są zawarte w buljonie. Nadto 32 litry buljonu działałoby trująco na organizm, a wypite odrazu, wywołałyby śmierć natychmiastową.

Ptaki i latarnie morskie.

Setki tysięcy ptaków giną rocznie pod latarniami morskiemi, których światło je wabi. Wyczerpane daleką podróżą latają ptaki dookoła laterń morskich tak długo, póki na śmierć znużone nie wpadną w fale morskie, lub póki nie padną łupem krajowców. Ornitolog holenderski prof. Thijsse wypróbował teraz specjalny przyrząd który ma służyć ptakom jako miejsce wypoczynku. Wyliczono, że jednej nocy użyło przyrządu 2.000 jaskółek i innych ptaków, które inaczej byłyby zginęły. Te z powodzeniem przeprowadzone próby zajęły angielskie towarzystwo ochrony zwierząt, które zwróciło na przyrządy uwagę rządu. Towarzystwu pozwolono dokonywać prób na angielskiem wybrzeżu.

Nowy tryumf wiedzy lekarskiej.

Ludzkość zyskała nowy środek do walki z jedną z najstraśniejszych plag—z obłędem. Dr. Toulouse, lekarz naczelny przytułku Villejuif w Paryżu, zakomunikował świeżo Tow, medycznemu szpitali rezultaty, osiągnięte przez niego przy próbach stosowania wstrzykiwania tlenu w wypadkach ostrego obłędu. Próby te dały wyniki znakomite: dwóch chorych zostało wyleczonych w ciągu kilku dni. W zimie dr. Toulousse wraz z prof. Richet'em mają zamiar pójść jeszcze innym śladem, aby dojść do ostatecznego zwycięstwa i uzyskać niezawodny sposób opanowania pomieszania zmysłów.

Aeroplanem przez ocean.

Z inicjatywy londyńskiej „Daily Mail“ dokonana ma być próba nowej podróży napowietrznej, która o ile się uda, zaćmi wszystkie dotychczasowe „śmiałe“ loty. Redakcja wyznaczyła mianowicie nagrodę w wysokości około 40 tysięcy rubli za dokonanie lotu przez ocean Atlantycki.

Z Ameryki nadchodzi świeżo wiadomość, że dwaj lotnicy tamtejsi Rodman Lew i Henry Brown, czynią już energiczne przygotowanie do podróży tej, którą przedsięwziąć mają we wrześniu.

Ogólna przestrzeń, którą przebyć mają lotnicy, wynosi, 3,100 klm. Na przestrzeni tej, w odległości mniej więcej 900 klm. jeden od drugiego, stać będą na kotwicy na oceanie okręty, na których lotnicy zaopatrzyć się będą mogli w benzynę i odpocząć. Wzlot zamierzony jest na godz. 8 rano, tak że lotnicy będą mogli wieczorem dnia tego znaleźć się na pierwszej stacji okrętowej i odpocząć do rana. Wylądowanie na wybrzeżu irlandzkiem nastąpić ma piątego dnia podróży rano, tak, że cała droga przebyta zostanie w trzy doby, wliczając odpoczynki. Aeroplany zaopatrzone będą, oczywiście, w aparaty do telegrafowania bez drutu.

Fachowa prasa francuska nie wróży przedsięwzięciu temu zbyt wielkiego powodzenia, zaznacza jednak, że warto go spróbować.

8) MARJAN ORLICZ.

JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

Żarski w pewnej chwili, ucałowawszy gorąco ręce pani domu, wyniósł się po angielsku.

Nie dał się zatrzymać na obiad.

Nie nalegała. Rozumiała, że nie jest usposobiony do obcego towarzystwa.

Przyrzekł tylko, że wkrótce da znać o sobie.

Idąc ku stacji, przetrawiał całą swoją rozmowę z panią Martą.

Ha, dziej się co chce!

Trzebaż raz prawdzie zajrzeć w oczy...

Po całodziennem ucztowaniu w słońcu, las zdawał się śnić w cichem rozmodleniu.

W górze gasła błękitna baśń stropu, gorejąc tylko u zachodu ogniem nalaną kulą.

Na wierzchołkach przydrożnych jabłoni, dopalały się ostatnie blaski odchodzącego dnia.

Jakaś uroczysta cisza stała na straży układającej się do snu przyrody.

Tylko gdzieś tam we wsi zaszczekał pies, koń zarżał u żłobu raźno, zaskrzypiały u obory wierzeje.

I znowu cicho.

Wtem, tuż blizko, huknął strzał.

Za nim drugi i trzeci, wpadł w poważną ciszę nadciągającego wieczoru.

Żarski przystanął zaniepokojony.

Naraz przypomniał sobie, że to przecież żniwo kłusowników i już spokojnie szedł dalej.

Zdawało mu się słyszeć z oddali dygotanie nadchodzącego pociągu.

Spojrzał na zegarek.

Aha, trzeba przyspieszyć kroku.

VI.

Po przez ulice Paryża przesłonięte niebieskawą gazą mgły przedwieczornej, kareta z galeryjką na bagaż toczyła się zwolna.

Żarski spuścił okno.

Chciwy wzrok jego żarłocznie chłonął przesuwające się amfilady ulic.

„Jak ta mgła paryska", myślał „poetyzuje najbanalniejsze nawet przedmioty, jaką robi feerję z najpospolitszych siedzib ludzkich.

Żegnaj, kochany Paryżu!

Doznawał tak bolesnego ściśnienia serca, że gdyby się nie wstydził jadących z nim kolegów, kazałby woźnicy zawrócić.

Jego nastrój widocznie udzielił się i drugim. Wszyscy mają zwarzone miny.

Powiedziałby ktoś, że to nie paczka wesołej „malarji", ale korowód „croque-mort'ów, gdyby pajac Skrzecki, jak go słusznie nazwał Orliński, nie wyprawiał coraz to nowego konceptu, podczas całej długiej drogi na „Gare du Nord".

— Kiedyście wysłali obrazy?—pyta Jakajtys, żeby coś powiedzieć.

— Już tydzień temu.

— To wątpię, czy je już zastaniecie.

— Słuchajcie, Żarski, jeśli nie ciśniecie tej waszej pogrzebowej miny, jakem Skrzecki, wstydu wam narobią: jak nie fiknę kozła na środek ulicy z powozu, ludziska się zbiegną.

Udawał, że chce zatrzymać karetę.

— Poczciwie, Skrzeka, że mię chcecie rozweselić, ale mi jakoś tak dziwnie płacze dusza.

— To podnieście fartuszek i otrzyjcie oczęta. A cóż za mlamla, tak pragnął jechać...

— I pragnę. Wy nie znacie może tego uczucia: zawsze z lękiem rzucam to co jest, aby iść naprzeciw tego X, które ma przyjść. Boję się otworzyć drzwi, po za któremi nie wiem, co na mnie czyha.

— A to nie otwierać.

— Kiedy czuję, że muszę.

— Przecież wrócicie chyba, jeśli nie zaraz, to za jaki rok,—odezwał się Orliński.

— Kto wie, co będzie za rok.

— Ee, prawdziwie, Żarski, ja nie myślał, że z was taka baba, toż istna baba,—wyrzekł junacko Jakajtys, ale głos mu drżał.

Przyjechali na stację za wcześnie. Tylko co przybył pociąg z Kolonji.

Fala ludzka zalała halę.

Uściski, powitania, gwar, bieganina, odbieranie bagażu.

Żarski z kolegami przeszli do poczekalni.

Wkoło, na kanapkach grupki ludzi, również czekających na pociąg.

Stojąc na środku, kilku rosyjskich studentów rozprawia gwarnie.

Zwykły niepokój, zwykła gorączka oczekiwania.

Żarski z wypiekami na twarzy bez ustanku nerwowo zaciera ręce, jak zwykle, kiedy jest nadmiernie podniecony.

— No, Żara,—odzywa się Skrzecki—dziś z was jeszcze większy niedorajda, niż zwykle. Dajcie, kupię wam bilet i załatwię bagaż. Mieliście, zdaje się pudełko.

— Mam, tu, przy sobie.

Skrzecki odszedł i niebawem wrócił z biletem i kwitem bagażowym.

— Czy wy dobrze podróżujecie?—pyta Orliński.

— Djabła tam, tracę głowę. Dobrze, że człowieka zapakują w to pudło, zamkną i wiozą, bo gdybym sam miał znaleść drogę, gotówbym zajechać do antypodów.

— A to słuchajcie, Żara, powiedzcie w każdym razie, jakie wy tam macie znaki szczególne. Jakbyście się zawieruszyli gdzie w drodze, to my ta złożymy się na ogłoszenie: zaginął młodzieniec szlachetnej powierzchowności, wabi się Żarski i t. d

— Czy ty, pajacu, chwili nie usiedzisz spokojnie?—monituje z powagą Orliński.

— „Ta gueule!" Może mam spuścić nos na kwintę, jak Żarski. Chłop jedzie do kraju, na pyszną wyżerkę, na emablunek rodaczek i wyje. A toż inny na jego miejscu z uciechy by wyskoczył z własnej skóry i siadł obok. Taki z urodzenia „charmeur" jak jeszcze przyjedzie otoczony nimbem Paryża, toż go niewiasty wyrywać sobie będą, jak jaki specjał...

Zrobił się ruch. Pociąg wsunął się na stację.

Żarski serdecznie ściskał kolegów.

— Żegnajcie chłopaki. A daj Bóg do widzenia.

— Do widzenia! do widzenia!

Dopóki ich tylko mógł widzieć, przesyłał im ręką pożegnania, a potem smutny, przybity opuścił się na siedzenie.

Obok, miejsce zajęte było przez jednego z kółka owych rosyjskich studentów.

Student przedstawił mu się z miejsca: Riazancew. Żarski wstał i z kolei wymienił swoje nazwisko. Był szczęśliwy, że słyszy ludzki głos.

O, prawdziwa baba ze mnie, pomyślał, jadę do kraju, do swoich i czego się truć? A bo też pani Marta nakładła mi furę kamieni na serce.

I nagle cały smutek opadł.

Riazancew okazał się miłym towarzyszem. W ostatnich latach przechodził przez „ogień i wodę". Opowiadał barwnie wiele ciekawych szczegółów, wiele krwawych chwil, które przeżywał, a które blado, martwo, zadrukowana bibuła przynosiła Żarskiemu.

Wracał do Petersburga, do rodziców, po latach tułaczki.

— Na długo pan jedzie?—spytał Żarski.

— Bo ja wiem? Chciałbym na długo, na długo, na bardzo długo: jestem strasznie wyczerpany, ale jeśli odwołają, wrócę bodaj nazajutrz.

— I nic pana nie kosztuje tak zmieniać miejsce pobytu?

— Jak trzeba, panie, to trudno.

(d. c. n.)

STEFAN GACKI.

Kochany pan Majer.

NOWELA.

W sali adwokackiej rojno było i gwarno. Raz wraz otwierały się drzwi i kolekcja najdziwaczniejszych fraków powiększała się o nowy egzemplarz, a były tu unikaty, które tylko zrzadka spotyka się w podrzędniejszych restauracjach u nocnych kelnerów: zrudziałe wyświecone na łokciach i plecach jeszcze komiczniejsze robiły one wrażenie przy wysokich kamizelkach i kolorowych spodniach i krawatach.

Na piersiach każdego z tych inwalidów błyszczał żeton uniwersytecki, do którego tuliła się zazwyczaj zasunięta pod pachę wypchana teka.

Jak we wszystkich zakrystjach, poprzedzających świątynię jakiegoś boga, czy bogini, panowała tu atmosfera roztargnienia, krótkich, urywanych rozmów, i długich szeptów po kątach, gorączkowego pośpiechu i uroczystego giestu, zjawiającego się jak na zawołanie.

Gdzieniegdzie tylko tworzyły się grupy, wśród których rozmowa, przedłużając się, nabierała beztroskliwej swobody, skąd dochodziły urywki zdań i wesołe śmiechy. Tutaj można było czasem usłyszeć nową anegdotkę, albo zręczny dwuznacznik, tu na wolnym ogniu, smarzyły się najświeższe plotki i odgrzewały stare, tu wreszcie groźny posąg Temidy rozsuwał fałdy uroczyście zarzuconego płaszcza i na swych piętach pokazywał pryszcze i nagniotki wychodzone na krętych ścieżkach ludzkich dróg.

Do jednej z takich grup zbliżył się właśnie pan Majer w chwili, gdy jeden z młodszych kolegów kończył opowiadanie jakiejś pieprznej anegdoty. Pan Majer lubił wesołą rozmowę i wesołe dykteryjki, i podchodząc, uśmiechał się już z apetytem. Spostrzeżono go i witano z poufałą serdecznością.

— A, kochany pan Majer!

— Spóźnił się mecenas; Kosicki opowiadał nam pyszny kawał.

— No to powtórzcie, niech i ja się pośmieję,—prosił pan Majer, a po wygolonej, rozlanej twarzy rozpływał mu się dobroduszny uśmiech zadowolonego z siebie tłuściocha.

— Niema bisów, zagłuszyli go ze śmiechem, niech coś nowego opowie.

— Cóż wy myślicie, że ja tak z rękawa będę wam sypał nowe kawały,—bronił się Kosicki.

— To niech mi pan ten pierwszy opowie, nastawał pan Majer.

— Dobrze, kochany mecenasie, tylko nie tak zaraz. Niech się odgrzeje.

— A wiecie, jak moja kucharka douczała dzisiaj młodszą pokojówkę?—zagadnął rozparty na krześle Wąsowicz.

— No?—odezwał się ktoś z boku.

— A najpierw wytłómaczyła jej, że służąca to nie bydlę, którem można pomiatać, a potem mówi jej tak: a ty każdemu pozwolisz sobie robić na głowę; nie masz to gęby, czy co?

Pan Majer śmiał się najgłośniej.

— Ta pańska kucharka to nieprzebrana skarbnica dowcipu. Widać, że jej pan sera nie żałuje.

— Co też pan mówi,—wykrzyknął Kosicki. Jakże można mecenasa posądzać o takie rzeczy, że swej kucharce daje sera. Cóżby na to młodsza powiedziała.

Staremu Wąsowiczowi pochlebił widocznie ten żart, uśmiechnął się i mówił.

— Kiedy ja, widzicie, tylko w dowcipie jestem niewybredny; a zapachu kuchni już nawet w jadalni nie znoszę.

— Acha, rozumiem — wtrącił Kosicki. Moralność przez . . . . .

— Bardzo szlachetna i słuszna zasada, oświadczył pan Majer.

— O ile nie jest płaszczykiem dla filozofji niedojrzałych winogron, złośliwie zaśmiał się Kosicki.

— Człowiek, który dba o swą reputację, nie powinien się wypierać żadnego podboju, wmieszał się do rozmowy chudy i krótkowzroczny Rzymanowski.

— No już ty daj pokój, rzucił się na niego Kosicki, ślepa kura niema chyba prawa rozprawiać o ziarnach.

Rzymanowski poprawił binokle, które zsuwały mu się ciągle z krótkiego, pękatego nosa.

— Już mnie zaczynasz ogryzać, chodź lepiej na obiad. Już od pół godziny czekam, byś przestał pyskować jak palestrant jaki.

— A któraż to godzina?—zaniepokoił się pan Majer.

— Już druga.

— O, to na mnie czas.

— A gdzież się mecenas tak śpieszy? Słomiany wdowiec.

— Właśnie, że dziś rano wróciła żona.

— A tak? to niechże jej pan złoży moje uszanowanie.

Całe towarzystwo przeszło na korytarz do garderoby i po chwili z gmachu sądu wysypało się na ulicę.

Pan Majer szedł w jedną stronę z Wąsowiczem.

Ogrzewało ich jesienne słońce. Miasto zaludniające się po letnich pustkach ożywiło się nagle. Ulice były rojne. W tłumie spacerujących przebijała się jakaś nuta z letnich wędrówek zawleczonej tu elegancji, to wpadał w oko jakiś kostjum męski przywieziony z dalekiej plaży, kapelusz modnie wygięty, wytworna toaleta, nosząca niezatarty wdzięk swego zachodnio europejskiego pochodzenia.

Pan Majer z przyjemnością wodził wzrokiem po przechodniach.

Udzielił mu się jakiś radosny, świąteczny nastrój.

— Nie wiem, czy to przyjazd żony tak mnie rozpogodził,—zaczął.

Wąsowicz spojrzał na niego z pod oka.

— Wie pan, ja naprawdę kocham to miasto. Nigdzie mi nie jest tak dobrze, jak tutaj.

Zamyślił się i po chwili ciągnął dalej.

— I ludzie tutaj są mi najbliżsi, mojej niemczyzny nie zostało we mnie ani krzty. Zresztą ja wogóle kocham ludzi. Nie wiem, czy wyjąkowo w czepku się rodziłem, ale z dumą mogę powiedzieć, że z własnych doświadczeń znam ludzi tylko z najlepszej strony. Spotykałem się w życiu z takimi dowodami życzliwości, tyle uczynności znajdowałem zawsze w ludziach, że doprawdy z żalem będę się kiedyś rozstawał z życiem. A tyle wyrzekań słyszy się dokoła. Nie, ja doprawdy w czepku musiałem się rodzić.

— Zapewne, — odparł sucho Wąsowicz.

— I wie pan, często, kiedy wyświadczono mi jakąś uprzejmość, przyjmowałem ją nie dla tego, żem jej potrzebował, ale że ten objaw życzliwości sprawiał mi przyjemność.

— Pan tędy zakręca? — przerwał mu Wąsowicz.

— Nie, odprowadzę mecenasa jeszcze kawałek. Przejdą potem przez ogród.

Wąsowicz nic nie odpowiedział i poszli razem, a Majer niezrażony milczeniem swego towarzysza wywnętrzał się dalej.

— Gdybym panu opowiedział rozmaite fakty, nie uwierzyłbyś pan wreszcie. Mówią naprzykład, że wszelka uprzejmość kończy się, gdy zaczynają wchodzić w grę pieniądze, A ileż razy mnie wyświadczano grzeczności, o które nawet nie prosiłem.

Zamyślił się i w milczeniu przeszli jesze kilka ulic. Wreszcie Majer zatrzymał się.

— Moja droga tędy, odezwał się do Wąsowicza.

— Dowidzenia, — odparł Wąsowicz. podając mu pośpiesznie rękę.

Pan Majer w dziwnem rozczuleniu przestępował próg swego mieszkania. Rozebrał się w przedpokoju i udał się wprost do pokoju żony. Była zajęta rozpakowywaniem kufrów i na łóżku i krzesłach piętrzyły się stosy tualet i bielizny.

Poszedł i pocałował ją w rękę, w czoło i w odsłonięty karczek, potem usiadł na wolnym foteliku, obok biurka i przyglądał się rozłożonym dokoła strojom.

— Nazwoziłaś, widzę, gałganków, mówił śmiejąc się. Może mi coś pokażesz z tych skarbów?

— Wszystko jeszcze pomięte i pogniecione. Zobaczysz, kiedy się w nie ubiorę, odpowiedziała mu również z uśmiechem.

— Pani Mila znów będzie najelegantszą kobietą w mieście.

— Kpisz sobie ze mnie.

— Wcale nie. I mnie to sprawia przyjemność, kiedy cię widzę ładną, ładnie ubraną.

d. n.)

MIGUEL DE CERVANTES SAAVEDRA.

Rinconete i Cortadillo.

Z hiszpańskiego przełożył Zdzisław Milner.

— I djabła samego z lasu wywołam, bodajbyś tylko poszedł na złamanie karku i żebym cię nie widziała więcej na oczy.

— Nie mówiłem wam? — ozwał się Repolido, — na Boga żywego, zdaje mi się, że jeszcze chwila, a przerwę układy i inną zacznę rozmowę.

Tu wmieszał się Monipodio:

— W mojej obecności nie będzie bójek żadnych. Cariharta wyjdzie nie na twoje groźby, ale dlatego, że ja ją o to poproszę i wszystko się skończy ku ogólnemu zadowoleniu, bo niesnaski między tymi, którzy się kochają, mają w sobie tyle dobrego, że później tem przyjemniej jest się godzić. Hejże, Juleczko! hej, córko! hej, Cariharto, najmilsza! wyjdźże do nas, serce, a ja na siebie to biorę, że Repolido na kolanach cię przeprosi.

— Jeśli te przeprosiny mają być upokorzeniem, — rzekł na to Repolido, — i przynieść uszczerbek godności osobistej, to i przed całym wojskiem zbirów się nie upokorzę, lecz jeśli o to tylko chodzi, że taki hołd Cariharcie się spodoba, nie mówię, że się rzucę na kolana, ale rzucę się z wieży zamkowej, gdy ona tego zażąda.

Z tej odpowiedzi śmiać się poczęli Chiquiznaque i Maniferro, co srodze zagniewało Repolida, który myślał, że kpią sobie z niego. To też zwracając się do nich, zawołał ze złością:

— Ktokolwiek będzie się śmiać z tego, co Cariharta powiedziała na mnie, albo ja na nią, niech wie, że łże bezczelnie i będzie łgał za każdym razem, gdy mu przyjdzie ochota do śmiechu, jak powiedziałem.

Chiquiznaque i Maniferro spojrzeli na siebie z ukosa, a Monipodio spostrzegł bez trudu, że źle może skończyć się ta rozmowa, jeśli on nie zażegna kłótni. To też stanąwszy wnet między nimi zawołał:

— Dość tego, panowie, zaniechajcie obelg i trzymajcie języki za zębami; a tych wszystkich błahostek niech żaden z was nie bierze do siebie.

— Nie wątpimy wcale, — odparł Chiquiznaque, — że podobnych słów nikt nie ośmieliłby się do nas skierować, bo gdybyśmy tylko mieli podejrzenie, że ta przemowa stosuje się do nas, pewno nie dalibyśmy czekać na odpowiedź.

— Jeśli cię ręka świerzbi, mości Chiquiznaque, — rzekł mu na to Repolido, — wiedźże o tem, że i my mamy tęgie ramiona, a powiedziałem już, że ten kto tu się zaśmiał jest kłamcą i łajdakiem. Jeśli mi kto zechce zaprzeczyć, niech idzie ze mną, a z mieczem w ręku mu pokażę, że co rzekłem, to rzekłem.

Z temi słowy Repolido skierował się ku drzwiom prowadzącym na ulicę. Cariharta, która słyszała całą rozmowę, widząc, że zagniewany, zamierza dom opuścić, wybiegła na dziedziniec, wołając:

— Trzymajcie go! niech nie odchodzi, bo znowu coś zbroi. Czyż nie widzicie, że złość nim trzęsie? A kiedy chodzi o odwagę, nie dorównałby mu sam Judasz Makarelusz. Wróćże się, ty mój bohaterze srogi!

To mówiąc, zagrodziła mu drogę i mocno uczepiła się jego płaszcza. Monipodio wnet pośpieszył jej z pomocą i wspólnemi siłami zdołali go przytrzymać. Chiquiznaque i Maniferro pozostali na boku, nie wiedząc, czy wypada im się gniewać, czy nie i czekali, co uczyni Repolido. Ten zmiękł wreszcie na prośby Cariharty i Monipodia i powrócił, mówiąc:

— Nigdy przyjaciele nie powinni obrażać swych przyjaciół, ani kpić sobie z przyjaciół, a nadewszystko wówczas nie powinni tego czynić, kiedy widzą przyjaciół swych zagniewanych.

— Niema tu przyjaciela, — odparł Chiquiznaque, — któryby zdolny był drwić ze swych przyjaciół; a żeśmy wszyscy przyjaciele, niech przyjaciele podadzą sobie ręce.

Na to ozwał się Monipodio:

— Mówicie Waszmość jak winni mówić dobrzy przyjaciele i jako tacy podajcież sobie przyjacielskie ręce.

Uścisnęli więc sobie dłonie, a Escalanta, zdjąwszy jedną trepkę, poczęła grać na niej, jak na tułumbasie. Gananciosa wzięła miotłę, która przypadkiem tam się znajdowała i skrobiąc o nią paznogciami, poczęła wydobywać dźwięki, które choć przykre i piskliwe, zgadzały się jednak z uderzeniami trepki. Monipodio stłukł talerz i ująwszy między palce dwie skorupy, począł niemi takt wybijać, wtórując trepce i miotle. Rinconete i Cortadillo przyglądali się ze zdziwieniem tym niezwykłym instrumentom muzycznym, gdyż nigdy przedtem nie widzieli podobnej orkiestry. Zauważył to Maniferro i rzekł do nich:

— Podoba się wam ta muzyka na miotle? Nie dziwi mię to wcale, gdyż na świecie całym niema prostszych i tańszych narzędzi muzycznych, niż te, które przed sobą widzicie. Mówił mi dni temu kilka pewien student, że ani Ognifeusz, który Arankę wywiódł z piekła, ani Marion, który wsiadł na delfina i jeździł tak po morzu, ani inny jeszcze wielki muzyk, który wybudował miasto o stu bramach i tyluż oknach, nigdy nie wynaleźli muzyki lepszej i łatwiejszej do nauczenia. Żaden z tych nieboszczyków nie umiał, podobnie jak my, grać na instrumentach bez strun i bez klawiszy, których w dodatku nigdy nie potrzeba stroić i słyszałem nawet, że jest to wynalazek pewnego zucha z naszego miasta, który jest pono w muzyce istnym Hektorem.

— Musi to być prawda,—odparł Rinconete,— lecz posłuchajmy co też nam zaśpiewają nasi muzykanci, bo zdaje mi się, że Gananciosa splu-

nęła, co jest nieomylnym znakiem, że szykuje się do śpiewu.

Tak też było w istocie, gdyż Monipodio poprosił ją był, aby zaśpiewała kilka powszechnie znanych w Sewilli zwrotek; zaczęła jednak nie Gananciosa, a Escalanta, która wdzięcznym a melodyjnym głosem zaśpiewała:

Dla Sewilańczyka
O rudej czuprynie
Tak cała goreję,
Że aż serce ginie.

Ciągnęła dalej na tę samą nutę Gananciosa:

Gdzie szukać dziewczyny,
Która się nie sparzy
Na ognistym chłopcu
O brunatnej twarzy?

Następnie Monipodio, w szybszy ruch wprawiwszy swe skorupy, zanucił:

Waśnią się i godzą
Kochankowie młodzi:
Niech się czubią zdrowi,
Gdy im to nie szkodzi.

Nie chciała Cariharta pominąć milczeniem swego zadowolenia, bo wziąwszy również w rękę trepkę, poczęła tańczyć, wybijając na niej takt i przyśpiewując:

Wstrzymajże, szaleńcze,
Tych razów wichurę,
Bowiem, koniec końców,
Własną smalisz skórę.

— Śpiewajcież sobie ile chcecie, — rzekł na to Repolido, — ale nie poruszajcie starych dziejów, bo niema poco: co się stało, to się nie odstanie, o nowych mówmy więc sprawach i kwita.

Zanosiło się już na dłuższe tańce i śpiewy, gdy nagle szybkie pukanie do drzwi położyło kres zabawie. Monipodio zapytał kto idzie, a szyldwach odparł mu że na końcu ulicy ukazał się sędzia miejski i że szli przed nim dwaj ceklarze wydziału śledczego, Tordillo i Cernicalo.

Odpowiedź ta, usłyszana przez wszystkich, taką trwogę rzuciła na towarzystwo, że Cariharta i Escalanta włożyły na wywrót swe trepki, Gananciosa odłożyła na bok miotłę, a Monipodio swe skorupy i w kłopotliwem milczeniu ucichła cała muzyka. Oniemiał Chiquiznaqune, zbladł Repolido, zatrwożył się Maniferro i wszyscy, jeden po drugim, skryli się po kątach, a niektórzy aż na dach weszli, myśląc, że tą drogą łatwiej im będzie dostać się na ulicę i umknąć. Nigdy strzał z rusznicy, ani nagły odgłos grzmotu tak nie przeraził stada rozigranych gołębi, jak zatrwożyła owe szlachetne grono wiadomość o nieoczekiwanej wizycie sędziego i jego pomocników. Nasi dwaj nowicjusze, Rinconete i Cortadillo, nie wiedzieli gdzie się ukryć, pozostali więc na miejscu, czekając końca owego nagłego zamieszania i ciekawi co z tego wyniknie. Wynikło tyle, że wrócił szyldwach i powiedział, iż sędzia przeszedł koło domu, nie zdradziwszy najmniejszym ruchem, aby miał coś złego podejrzewać.

Ledwo szyldwach skończył swą relację zjawił się we drzwiach jakiś młody mężczyzna po zawadyjacku nieco odziany. Monipodio wziął go ze sobą do izby kazał zawołać Chiquignaqua, Maniferra i Repolida, innym zaś zabronił wchodzić. Rinconete i Cortudillo, pozostawszy na dziedzińcu mogli słyszeć całą rozmowę między Monipodjem a nowo przybyłym gościem, który zaczął od tego, że zapytał herszta dlaczego dane mu polecenie tak źle zostało spełnione. Monipodio odparł, że sam jeszcze nie wiedział jak załatwiono rzecz całą, dodając, że przyjdzie za chwilę jego pełnomocnik, któremu powierzono sprawę, a ten będzie mógł zdać ze wszystkiego dokładną relację. W trakcie tego zeszedł z góry Chiquignaque, i Monipodio zapytał go czy rozprawa nożowa na czternaście cięć już załatwiona.

— Która! — zapytał Chiquiznaque, czy chodzi o sprawę tego kupca z zaułka?

— To właśnie, — pochwycił gość.

— Aha, jeśli o tej sprawie mowa, — odparł Chiquiznaque, — oto jak się rzeczy mają: czekałem nań wczoraj z wieczora w pobliżu jego domu i zjawił się zanim zadzwoniono na *Anioł Pański*; podszedłem doń, zmierzyłem go wzrokiem i okazało się, że mu twarz tak maleńką, iż na żaden sposób czternastu ukłuć nie możnaby na niej zmieścić; widząc przeto, że nie mogę uczynić tego, co przyrzekłem i co nakazywała mi moja destrukcja...

— Instrukcja, chciał pewno WMość powiedzieć, — poprawił gość, — bo o żadnej destrukcji nie było mowy.

— To właśnie, — odparł Chiquiznaque, — mówię tedy, że widząc, iż na tak miniaturowem obliczu niesposób zmieścić umówionej liczby ukłóć i nie chcąc, aby się nazywało, że czekałem napróżno, zamiast pana poczęstowałem nożem sługę, który mu towarzyszył, a ten przynajmiej miał twarz przyzwoitych rozmiarów.

— Wolałbym, — zauważył młodzieniec, — aby zadano siedem panu, niż czternaście słudze. Prawdziwie, nie wykonaliście mego polecenia jak należało, ale nie mówmy już o tem: owe trzydzieści dukatów, które wyliczyłem WMości jako zaliczkę nie zrujnują mię. Żegnam panów! sługa uniżony.

Z temi słowy zdjął kapelusz i odwrócił się aby odejść. Lecz Monipodio przytrzymał go za płaszcz aksamitny, który miał na ramionach, mówiąc:

— Niechże WMość poczeka chwilę i dotrzyma swej obietnicy, skorośmy naszemu słowu byli wierni i sprawę załatwili rozumnie a honorowo: brak nam jeszcze dwudziestu dukatów i nie wyjdzie stąd WMość, dopóki nie da nam tej kwoty, lub zastawu tejże wartości.

— Więc WMość nazywa to dotrzymaniem słowa, gdy zamiast pana, pachołka poczęstowano nożem?

— Wspaniale rozumuje ten młodzieniec; — rzekł Chiquiznaque: — a czy nie pamięta WMość przysłowia: które mówi: przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi"?

— Nie pojmuję, — odparł gość, — co też to przysłowie może mieć wspólnego z naszą sprawą?

— To bardzo proste, — objaśnił Chiquiznaque: — czyż nie znaczy to, że przyjaciele naszych nieprzyjaciół są naszymi nieprzyjaciółmi? Otóż, kupiec jest nieprzyjacielem WMości, sługa jego mu sprzyja, gdy więc sługa dostał nożem, na wroga WMości spada obraza i oto sprawa nasza załatwiona, a krzywda WMości pomszczona, trzeba tedy niezwłocznie i bez targów zepłacić, co się nam należy.

— Święta racja,— dodał Monipodio,— z ust mi wyjąłeś, Chiquiznaque, wszystko co tu powiedziałeś. Niechże się więc WMość, panie mój, nie wdaje w spory ze swymi sługami uniżonymi i przyjaciółmi, a raczej posłucha mojej rady i zapłaci za nasz trud, jeśli zaś WMość pragnie, aby i samemu kupcowi dostało się kilka ukłóć, nie więcej jednak, niż można zmieścić na jego twarzy, proszę obliczyć swe wymagania, a my już sprawę załatwimy.

— Jeśli mogę na to liczyć,—odparł młodzieniec, — chętnie zapłacę wszystko za wczorajszą wyprawę, a za przyszłą — z góry odliczę wam wynagrodzenie.

— Pewnym WMość być może, że wszystko zostanie spełnione jaknajlepiej, i że tym razem Chiquiznaque tak ładnie go uczęstuje, że mu nieprędko przyjdzie znowu do swarów ochota. Na zbawienie mej duszy, to wszystko mogę zaprzysiądz.

— Z taką gwarancją,—rzekł młodzieniec,— wierzę obietnicy; zostawię przeto waszmości jako kaucję, ten oto łańcuch złoty; w razie potrzeby opłaci on wam i zalegające dwadzieścia dukatów i czterdzieści, które ofiaruję wam za tę nową rozprawę. Wart jest tysiąc reali i być może, że suma ta całkowicie wam się będzie należała, gdyż zdaje mi się, że niezadługo trzeba będzie inną jeszcze wyprawę nożową urządzić.

To mówiąc, zdjął z szyi łańcuch misternej roboty i oddał go w ręce Monipodia, który zarówno po wadze, jak po dotyku poznał, że był ze szczerego złota zrobiony. Monipodio przyjął ten zastaw z wielką grzecznością i zadowoleniem, gdyż był niezmiernie dobrze wychowany. Egzekutorem pozostał nadal Chiquiznaque, który przyrzekł, że tegoż wieczora wszystko będzie załatwione.

Młodzieniec wyszedł wielce zadowolony z wyniku układów, Monipodio zaś kazał przywołać wszystkich nieobecnych i zatrwożonych. Zebrali się wszyscy, a mistrz stanąwszy pośród nich, wyjął z kaptura swego płaszcza książkę do notatek i kazał Rinconetowi czytać z niej na głos, gdyż sam czytać nie umiał.

Rinconete otworzył książkę i na pierwszej karcie przeczytał taki napis:

WYKAZ ROZPRAW NOŻOWYCH,
KTÓRE MAJĄ BYĆ ZAŁATWIONE
W CIĄGU BIEŻĄCEGO TYGODNIA.

P i e r w s z a: S p r a w a k u p c a z z a u ł k u. C e n a: p i ę ć d z i e s i ą t d u k a t ó w; t r z y d z i e ś c i d u k a t ó w z a l i c z k i o d e b r a n o. E g z e k u t o r: C h i q u i z n a q u e.

— Zdaje się, synu, że w tej rubryce nic więcej nie zapisano, — rzekł Monipodio — szukaj dalej rubryki: W y k a z r o z p r a w n a k i j e.

Rinconete odwrócił kartę i na następnej ujrzał napis: W y k a z r o z p r a w n a k i j e, a nieco niżej taką notatkę:

S z y n k a r z o w i z A l f a f a d w a n a ś c i e r a z ó w k i j e m w i ę k s z y c h r o z m i a r ó w, p o d u k a c i e. O d e b r a n o o ś m d u k a t ó w z a l i c z k i. T e r m i n d o s z e ś c i u d n i. E g z e k u t o r: M a n i f e r r o.

— Możnaby wykreślić tę rozprawę, — rzekł Maniferro, — gdyż dziś wieczorem rzecz całą załatwię.

— Czy jest co więcej, chłopcze? — zapytał Monipodjo.

— Jest jedna jeszcze, odparł Rinconete;— tak powiada:

G a r b a t e m u k r a w c o w i, z n a n e m u pod p r z e z w i s k i e m S z c z y g i e ł, s z e ś ć r a z ó w k i j e m w i ę k s z y c h r o z m i a r ó w z p o l e c e n i a d a m y, k t ó r a z o s t a w i ł a n a m n a s z y j n i k. E g z e k u t o r: D e s m o c h a d o.

— Dziwi mię, — rzekł Monipodio, — że nie załatwiono jeszcze tej sprawy. Desmochado musi być źle usposobiony w tych czasach, gdyż oto dwa dni już minęły od naznaczonego terminu, a nie zabrał się jeszcze do dzieła.

— Wczoraj go spotkałem, — rzekł Maniferro, — powiedział mi, że dotychczas nie mógł jeszcze spełnić swego zobowiązania, garbus bowiem był chory i nie wychodził z domu.

(d. n.).

5) H. DE BALZAC.

Dzieje Trzynastu.

(Z francuskiego).

Bytujący między żebraniną a nędzą, wyzbywają się wszelkich skrupułów i ostrożnie krążą dokoła szafotu, unikając go prawie zawsze; są nieuważni wśród zepsucia i zepsuci wśród niewinności. Częstokroć wywołują uśmiech, lecz częściej jeszcze — głębszą myśl. Wszyscy oni probują chwilami powrotu do stanu normalnego i pracy, lecz zostają zepchnięci z powrotem w błoto przez społeczeństwo, któro nie troszczy się o to, ilu jest poetów, wielkich ludzi, ludzi śmiałych wśród żebraków, tych cyganów paryskich, tłumu nieskończenie dobrego i nieskończenie złego,—jak wszystkie masy, które cierpiały; przyzwyczajonego do znoszenia nieznośnych męczarni, utrzymywanego wciąż na poziomie błota przez jakąś fatalną potęgę. Wszyscy oni mają jakieś marzenie, nadzieję, szczęście: grę, loterję lub wino.

Nic podobnego nie odnalazłbyś w osobniku, który spokojnie stał oparty o ścianę naprzeciw barona, niby fantazja, narysowana ręka zręcznego artysty. Człowiek ten był długi i suchy; jego ołowiana twarz zdradzała głęboką i lodowatą myśl i usuwała z serca ludzkiego wszelka litość swym pełnym ironji wyrazem i wyniosłem spojrzeniem, które zdradzało jego przekonanie o wyższości nad bliźnimi. Twarz ta była koloru brudno-białawego, a pomarszczona i łysa czaszka przypominała granitową kulę. Kilka kosmyków po bokach spadały na kołnierz brudnego i zapiętego pod szyję surduta. Przypominał jednocześnie Woltera i Don-Kiszota; wyglądał jednocześnie na kpiarza i melancholika, na człowieka pełnego filozoficznej pogardy dla świata, lecz napoły obłąkanego. Robił wrażenie, jakgdyby nie miał na sobie koszuli. Brodę miał długą. Czarny krawat, obszarpany, podarty, obnażał pomarszczoną szyję o żyłach grubych, jak sznury. Pod oczami zarysowywały się brunatno-sine kręgi. Wyglądał na lat sześćdziesiąt. Ręce miał białe i czyste. Buty jego były dziurawe i pobite; niebieskie spodnie, łatane w kilku miejscach, pokryte były jakimś wstrętnym, białawym puchem Czy to dla tego, że jego zmoczone ubranie wydawało wstrętny zapach, czy też wogóle, w normalnym stanie pasiadał specyficzną woń nędzy paryskiej, woń ostrą i nieznośną — dość, że sąsiedzi starca odsunęli się od niego jaknajdalej. A on rzucił na nich spokojny, pozbawiony wyrazu wzrok, później przeniósł na oficera swe spojrzenie, to słynne Talleyrandowskie spojrzenie—ponure i zimne, stanowiące nieprzeniknioną zasłonę, za którą mocny duch ukrywa głębokie wzruszenia i ścisłą obserwację ludzi, rzeczy i wydarzeń. Jego usta i czoło pozostały nieruchome, lecz oczy przybrały jakiś tragiczny wyraz. Cały dramat krył się w ruchu jego zmarszczonych powiek.

Wygląd tej stoickiej postaci zrodził w baronie ten stan, w którym człowiek od zwykłego zaciekawienia przechodzi do złożonych myśli i uczuć. Tymczasem burza ustała i po chwili de Maulincour, zamiast swego sąsiada ujrzał poły jego surduta. Gdy chciał opuścić swe chwilowe schronisko, znalazł baron pod nogami list, który wypadł zapewne z kieszeni starca w chwili, kiedy wyciągał on z kieszeni chustkę. Oficer podniósł list, aby go oddać i mimowoli przeczytał adres: „Wielmożny Pan Ferragus. — Ulica Augustynów, róg ulicy Soly. — Paryż.

Na kopercie nie było marki. Z chwilą, gdy przeczytał adres, baron zapragnął poznać treść listu. Namiętność czyniła go niedyskretnym, gdyż jakieś przeczucie mówiło mu, że list może mu się przydać chociażby z tego względu, że pozwoli mu on przeniknąć do tajemniczego domu pod pozorem zwrócenia go nieznajomem, który niewątpliwie mieszkał w śledzonej przezeń ruderze. Podejrzenia niejasne, jak pierwsze blaski dnia, kazały mu przypuszczać jakiś stosunek między tym człowiekiem a panią Juljuszową. Zazdrośni kochankowie gotowi są przypuścić wszystko, co najmniej prawdopodobne; snując najróżniejsze przypuszczenia. a potem wybierając z pomiędzy nich najbardziej prawdopodobne, sędziowie, szpiedzy, kochankowie i obserwatorzy odgadują prawdę.

— Czy to do niego ten list? Czy czasem nie od pani Juljuszowej?

Tysiąc pytań nasunęła mu niespokojna wyobraźnia, lecz po przeczytaniu kilku słów uśmiechnął się. Oto list ów w dosłownem brzmieniuwe wspaniałości naiwnych frazesów, do których nie można nic dodać, ani też ująć. Oryginał nie zawiera ani kropek, ani przecinków, ani nawet wykrzykników:

„Henryku! W liczbje ochfjar kture dla ciebje zrobiłam jesd tysz zamjar niepisać. Ale mósze napisać ci jake zbrodnie zrobiłeś wzglendem mnie. Wję zgury, że tfoja zetfardziała dósza nie zlitóje się nademnom. Tfoje syrce jezd głuche. Ale mósze ci napisać, do jakego stopnia za winiłeś i wjakem połorzeniu mnie zostawiłeś. Henryku, jag mogłeś zostawić mnie f takim bulu i niestszejściu? Tag, pszyznajesie, żenadzieja na tfojom miłość i szacuneg pozwoliła mi z nosić muj los. Hale dziś ztraciłam pszes ciebie fszyzdko: rodzicóf, pszyjaciuł, chonur izostał misie tylko fstyt, chańba i nendza. Wienc postanowiłam skończyć ssobą. Nierup rzadnych uwak, bo ja sama wię, jaketo okropne, hale musze. Czi mogie rzyć bes pomocy, bes przyjaciela, bes pociechy? Totysz zadwa dni Ida niebendzie godna tfojej przyjaźni. Henryku muj, pszebaczmi, rze pujde na takie drogie. Moie serce iezd zafsze pełne miłości dla ciebie. Nie zapominai, rze muj los jezd tfojom sprawom. Njech cie niebo nie skaże za tfoie zbrodnie, modle sie o to codzień, bo może menki bendom ieszcze wienksze iaksie dowię, rze jezdeś nieszczęśliwy. Hociasz jezdem wnendzy, ale niechce nic ot ciebie przyjonć. Gdybyś ty mnie kochał tobym mogła przyjonć ot ciebie pomoc ale łaski tfoiei niechce, bobym była taka sama podła jakten comi iedaie. Niech

pan domnie niepszychodzi do pracowni, bo tfoie wyzyty szarpiom moie szyrce. Henryku muj przyjacielu, dai mi oztatni dowut tfoiego szacunku i odpowic mi, napisz, rze hociasz jusz mnie niekoharz,ale ieszcze szanuiesz. Hociasz moie oczy jeszcze som godne ciebie widzić, to nie prosze, rzebyś siezemnom spotkał, bo sie boje moiei słabości i kochania. Tylko napisz mi jedno słowo, żebym miała odwagie i siłe znieść moiom hańbę. Dowidzenia winowajco moich monk i iedyny przyjacielu, kturego moie szyrce wybrało i nigdy niezapomni.—Ida."

To życie młodej dziewczyny, której zdradzona miłość, radości i smutki, niedole, nędza i tragiczna rezygnacja streszczały się w tych kilku słowach; ten nieznany poemat, tak nawskroś paryski, napisany nieortograficznie, podziałał na barona tak silnie, że zadał sobie pytanie, czy Ida nie jest wypadkiem jakąś krewną pani Juljuszowej i czy wieczorna wizyta wytwornej damy w tym brudnym domu nie posiadała charakteru filantropijnego. Że ten starzec mógł uwieść Idę—wyglądało to na cud. Błądząc w tym labiryncie myśli, które krzyżowały się i zbijały wzajem, baron doszedł do ulicy Vageròn, gdzie ujrzał stojącą na rogu dorożkę.

— Czyżby *ona* była tutaj znowu? — pomyślał. I serce jego zabiło gwałtownie i gorączkowo. Pchnął niskie drzwi, lecz schylił głowę pod wpływem uczucia wstydu, gdyż jakiś tajemniczy głos mówił mu: „Poco wtrącasz się do cudzych tajemnic?"

Wyszedł na schody i natknął się na starą stróżkę.

— Pan Ferragus?

— Nie znam takiego...

Jakto? Pan Ferragus tu nie mieszka?

— Nie mamy takiego w naszym domu.

— Ależ, moja kobieto...

— Co znów za: „kobieto"?

— Ależ, moja pani,—rzekł baron—mam list, do pana Ferragusa.

— A, jeżeli pan ma list, — odparła łagodniejszym nieco głosem,—to co innego. Może mi pan pokaże ten list?

August pokazał kopertę. Staruszka pokręciła głową z niedowierzaniem, zawahała się, jakgdyby chciała pójść zapytać się tajemniczego Ferragusa, co robić z natrętem, wreszcie rzekła:

— No, niech pan idzie do niego. Musi pan wiedzieć, gdzie on mieszka.

Nie odpowiadając na to zdanie. w którem mogła kryć się zasadzka, oficer lekko wbiegł po schodach i zadzwonił u drzwi mieszkania na drugiem piętrze. Instynkt kochanka mówił mu: „*Ona* jest tutaj".

Nieznajomy starzec, Ferragus, cyli *winowaica monk* Idy, otworzył drzwi.

Ukazał się ubrany w szlafrok, i białe flanelowe spodnie; na nogach eleganckie pantofle. Twarz miał starannie wymytą, włosy uczesane. Pani Julja, której głowa wyglądała z drugiego pokoju, zbladła i opadła na krzesło,

— Co pani jest?—krzyknął oficer, rzucając się ku niej.

Ale Ferragus wyciągnął rękę i odepchnął oficera tak gwałtownie, że August poczuł ból, jak gdyby otrzymał cios w piersi żelazną sztabą

— Proszę nie wchodzić — rzekł starzec. — Czego pan sobie życzy? Od kilku dni wałęsa się pan po tej dzielnicy. Czy pan jest szpiegiem?

— Wszak pan Ferragus?—spytał baron.

— Nie, mój panie.

— Pomimo to,—odparł August, — czuję się w obowiązku wręczyć panu ten list, który pan zgubił w bramie, do której shroniliśmy się obaj przed deszczem.

Mówiąc to i podając list, baron nie mógł powstrzymać chęci obejrzenia pokoju, w którym przyjmował go Ferragus. Znalazł, że pokój umeblowany jest skromnie, ale bardzo przyzwoicie. Na kominku płonął ogień; stół zastawiony był bardzo wytwornie, jeśli wziąć pod uwagę pozorną skromność kondycji tego człowieka. Wreszcie na kanapce w sąsiednim pokoju ujrzał stos złota i usłyszał dźwięki, w których rozpoznał płacz kobiecy.

— Ten list należy do mnie, dziękuję panu, — rzekł nieznajomy, odwracając się, aby dać do zrozumienia baronowi, że chciałby się go już pozbyć.

Zbyt zaintrygowany, by zauważyć, jak bacznie przygląda mu się nieznajomy, baron nie zauważył magnetycznych niemal spojrzeń, którymi ten chciał go, zda się, pożreć; lecz gdyby spotkał ten wzrok bazyliszka, pojąłby, że grozi mu poważne niebezpieczeństwo. Ale August zbyt był podniecony, by myśleć o sobie. Skłonił się, zszedł ze schodów i udał się do domu, usiłując odnaleźć jakiś sens w tem połączeniu trzech osób: Idy, Ferragusa i pani Juljuszowej. Było to dlań jednak równie trudne, jak dla dziecka ułożenie z poszczególnych kawałków łamigłówki. Wiedział tylko to, że pani Juljuszowa widziała go, że pani Juljuszowa bywała tam, że pani Juljuszowa skłamała przed nim. Maulincour zamierzał złożyć jej wizytę nazajutrz; sądził że nie będzie, mogła odmówic przyjęcia go, gdyż stał się do pewnego stopnia jej wspólnikiem, uczestnikiem jej tajemniczej intrygi. Czuł już zawczasu swą przewagę nad nią i zamierzał stanowczo zażądać od niej wyjaśnienia tajemnicy.

W tym czasie Paryż przechodził okres gorączki budowlanej. Jeśli Paryż jest potwornym olbrzymem, to jest on też największym manjakiem między olbrzymami. Podlega tysiącznym kaprysom i zachciankom: to buduje gmachy, jak wielki pan, rozkochany w architekturze; to porzuca budowę gmachów i staje się wojskowym; zbroi się od stóp do głów; przywdziewa mundur gwardzisty narodowego, odbywa ćwiczenia i pali cygara; to znów rozpacza, bankrutuje i wyprzedaje się drogo podczas licytacji sądowych; a w kilka dni potem poprawia swe interesa, bawi się i tańczy. Jednego dnia raczy się cukierkami, na zajutrz cierpi na ból zębów i leczy się. Manje jego trwają czasem przez miesiąc, czasem przez cały sezon, czasem przez rok, czasem przez dzień. Otóż w chwili, o której mowa, wszyscy w Paryżu coś budowali lub coś rozwalali,—niewiadomo dobrze co. Było bardzo mało ulic, na

których nie wznosiłyby się rusztowania o długich żerdziach, nakrytych deskami, o pokładach, idących z piętra na piętro, umocowanych za pomocą lin, niezabezpieczone od karet, które zaczepiały się o nie co chwila. Otóż o kilkanaście kroków od pałacu, barona de Maulincour, wyrosła przed jednym z domów taka prowizoryczna budowla. I gdy nazajutrz po wizycie u Ferragusa August jechał w powoziku do pani Juljuszowej, nagle olbrzymi kamień, którego powierzchnia wynosiła dwie stopy kwadratowe, windowany na szczyt rusztowania, zakręcił się, zerwał z lin, które go ciągnęły i spadł na służącego, siedzącego z tyłu kabrjoletu. Jednocześnie krzyk przerażenia rozległ się na górze, wstrząsając rusztowaniem i mularzami; jeden z nich znajdował się w wysoce niebezpiecznej pozycji, gdyż wisiał na końcu żerdzi, najwidoczniej zepchnięty z belki przez spadający kamień. Natychmiast zgromadził się tłum gapiów. Mularze zbiegli z rusztowania, krzycząc, klnąc i mówiąc, że kabrjolet barona zaczepił o blok. Jeszcze dwa cale, a spadający kamień byłby zmiażdżył Augustowi głowę. Służący leżał nieżywy, kabrjolet był potrzaskany. Wypadek ten wywołał wielkie zamięszanie w dzielnicy; pisma obszernie rozpisywały się o nim. Pan de Maulincourt pewny, że nie zawadził kabrjoletem o rusztowanie lub blok, podał skargę. Władze zarządziły śledztwo, które wykryło jednak tylko to, że przed rusztowaniem stał mały chłopiec i ostrzegał przechodniów, aby się nie zbliżali. Dalej śledztwo nie posunęło się. Baron stracił służącego, kabrjolet, a i sam przez dni kilka musiał leżeć w łóżku, gdyż tylna część kabrjoletu, łamiąc się, pokaleczyła go, a przytem wstrząśnienie nerwowe spowodowało gorączkę. Nie udał się więc do pani Juljuszowej. W dziesięć dni po tym wypadku, gdy po raz pierwszy wydalił się z domu i udał się w naprawionym kabrjolecie do lasku Bulońskiego, przytrafił mu się nowy wypadek. Przy ulicy Burgundzkiej, naprzeciwko Izby Deputowanych, nagle złamała się oś u jego kabrjoletu i to w chwili, gdy jechał bardzo szybko, tak że część górna silnie uderzyła o ziemię, a koła, spadając z połamanej osi upadły na barona i o mało nie strzaskały mu czaszki. Ocalenie swe zawdzięczał jedynie wytrzymałości skórzanej budy, która znacznie osłabiła uderzenie. Lecz otrzymał poważną ranę w bok. Już po raz drugi w ciągu dziesięciu dni odniesiono go bez zmysłów do zbolałej babki.

Ten drugi z rzędu wypadek nasunął mu pewne podejrzenie, przyszedł mu na myśl Ferragus i pani Juljuszowa.

Aby sprawdzić słuszność lub niesłuszność swych podejrzeń, zachował złamaną oś w swoim pokoju i wezwał właściciela warsztatu, z którego wyszedł jego kabrjolet. Ten stawił się, obejrzał oś i dowiódł baronowi dwóch rzeczy. Przedewszystkiem, że oś nie wyszła z jego warsztatu, gdyż nie nosiła inicjałów które umieszczał on na zrobionych u niego częściach powozów, a zatem zamiast jego osi, wstawiono jakąś inną. A przytem złamanie tej osi wywołane było umyślnie, za pomocą wydrążenia jej wewnątrz; przepiłowania, zręcznie zamaskowanego.

— Doprawdy panie baronie, trzeba być bardzo zręcznym, żeby tę rzecz tak urządzić. Niktby nie poznał, że oś była przepiłowana...

Pan de Maulincourt poprosił swego dostawcę, by nikomu nie zwierzył się z uczynionego odkrycia, i zrozumiał, czyja to robota.

Oba zamachy wykonane zostały z przebiegłością, dowodzącą, że baron ma do czynienia nie z byle kim.

— To wojna na śmierć i życia; wojna co się zowie, pełna zasadzek, podstępów, zdrad; wojna w imieniu pani Juljuszowej. Jakiemu to człowiekowi oddała się ona? Jaką władzę posiada ten Ferragus?—myślał baron, leżąc w łóżku.

I pomimo swej zawodowej odwagi wojskowego nie mógł powstrzymać dreszczu. Pośród myśli, które go opadły, jedno przestraszyło go szczególnie: czy jego tajemniczy wrogowie nie zechcą go otruć? I owładnięty strachem, ktory zwiększało jeszcze jego chwilowe osłabienie i gorączka, zawezwał staruszkę, która od szeregu lat znajdowała się przy boku jego babki, a która była przywiązana do niego, jak rodzona matka. Nie wyjawiając jej tajemnicy, polecił jej, aby kupowała żywność pokryjomu i codzień gdzieindziej, aby przynosiła ją sama, zamykała pod klucz i nie pozwalała nikomu zbliżać się do siebie podczas przyrządzania dlań jedzenia. Przedsięwziął też inne środki ostrożności, przeciw możliwości otrucia go. Znajdował się w łóżku, samotny, chory, miał więc czas obmyśleć, co przedsięwziąć należy na swą obronę. W ten sposób biedak zatruł sobie życie ciągłym strachem i wbrew jego woli podejrzenie zamroczało mu każdą godzinę, każdą chwilę.

(d. c. n.)

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „ „	„ „10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa”. Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska
Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.